

SPOTKANIA SŁIRZAN

Nr 1 (160)

LUBIN

2023 r.

| | | | | |
|--|--------------------------------------|--------------------------------------|-------------|-------------|
| Рабоч. | | Июль 1943 г. | | |
| ПРИКРЕПИТЕЛЬНЫЙ ТАЛОН на сахар и кондитерские изделия | | | | |
| Норма 400 гр | | Рабоч. | | |
| КАРТОЧКА на сахар и кондитерские изделия на июль 1943 г. | | | | |
| Ф. И. О. | | | | |
| при утере не возобновляется | | | | |
| июль сахар и конд. изд. № 1 | июль сахар и конд. изд. № 2 | июль сахар и конд. изд. № 3 | № 7 июль | № 6 июль |
| № 1 июль | № 2 июль | № 3 июль | № 4 июль | № 5 июль |

Talon na cukier i wyroby cukiernicze na lipiec 1943 r. wydany przez władze sowieckie pracującym Polakom, wywiezionym do Kazachstanu. Reprodukacja dzięki uprzejmości p. Jadwigi Opalańskiej (z domu Kołodziej).

Szanowni Krajanie,



ydarzenia wokół obchodów 79 rocznicy mordów na Wołyniu zaczęły się w Berlinie. Otóż ambasador Ukrainy w RFN, A. Melnyk, oświadczył w wywiadzie - najogólniej mówiąc - że Polacy również dokonywali takich masakr jak Ukraińcy. To nie była wypowiedź dyplomaty ale raczej probanderowskiego publicyisty.

MSZ Ukrainy odcięło się od wypowiedzi, a następnie odwołało go ze stanowiska. Później próbował stonować swoją ocenę mówiąc o ogólnych ofiarach Polaków w czasie II wojny, dodając na zakończenie: „Dzisiaj nie pozwolimy nikomu wbić klina między naród ukraiński i polski.” Niestety! Co za przewrotność! Treść wywiadu sam wbił takiego klina.

W obchodach rocznicy w Warszawie wziął udział prezydent, premier i pierwszy raz ambasador Ukrainy. Prezydent podkreślił, że doszło do zbrodni, która w istocie była ludobójstwem, bo jej celem było dokonanie czystki etnicznej. Przyznał też, że debata o zdarzeniach, do jakich doszło na Kresach, jest trudna dla obu narodów. – Dla nas to temat niezwykle bolesny, domagający się powiedzenia prawdy, dla Ukraińców trudny, bo przede wszystkim niezwykle wstydlivy – wyjaśnił i zauważył, że sprawcy zbrodni „dla nas byli mordercami, dla Ukrainy byli bohaterami i często ginęli z rąk sowieckich, walcząc o niepodległe państwo”. - Jakże to trudne, ale prawda musi być jasno i mocno wypowiedziana - mówił.

Na rocznicy chciała coś ugrać Rosja. Na 11 lipca zwołała posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ w formule nieformalnego spotkania. Temat posiedzenia był ewidentną próbą narzucenia państwu ONZ rosyjskiej narracji propagandowej i próbą usprawiedliwienia napadu na Ukrainę. Tytuł brzmiał „Neonazizm i radykalny nacjonalizm: badanie przyczyn kryzysu na Ukrainie”. Następnym perfidnym krokiem tego państwa. Spotkanie zbojkotowało 45 państw.

Lubin, grudzień 2022 r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 160

Str.

3. W. Zawadzki - Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia (III).
28. H. K. Pszczelnictwo.
29. M. Zmur. Zaginęłam w zaspie śniegu. Wspomnienia z czasu wojny.
37. Wypisy z Tarnopolskiego Dziennika Wojewódzkiego (IV).
40. Wykaz ofiar zbrodni popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich na osobach narodowości polskiej w pow. Przemyślany (XXXVIII).
42. Pokłosie naszych publikacji (T. Fojgt).
44. Wiersze Zygmunta Grochowalskiego (X).

Kartka z pamiętnika

Red. Poniższy tekst został wybrany z książki Władysława Zawadzkiego „Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia.” Rozmowę z autorem przeprowadził i wstępnie zredagował Janusz Rozwadowski. Redakcja dziękuje wydawnictwu Poligraf i p. Januszowi Rozwadowskiemu za zgodę na przedstawienie wspomnień w naszej gazecie oraz dokonanie niewielkich skróceń tekstu.

Władysław Zawadzki

Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia (cz. III)

Rozdział VII. Duga wywózka 1944-1945

Nie wiem, czy opowiadałem, jakie były perypetie z dostaniem się do Przemyślan. Perypetie były straszne, dlatego że już było słycać artylerię i trwał napór wojsk rosyjskich. Wojska niemieckie się wycofywały. Przede wszystkim chodziło o transport amunicji. Więc konno szło zaopatrzenie. Szosą szedł cały sznur ludzi, sprzętu wycofującego się ze wschodu od miasteczka, które nazywało się Dunajów, tam mieszkała moja ciocia ze strony mamy, mamy siostra i stamtąd właśnie w kierunku na Przemyślany, Lwów oni się wycofywali. Nie można się było tam dostać w żaden sposób do środka, żeby jakoś się z nimi zabrać. Sami nie mogliśmy przejechać, zresztą nie było możliwości. W lasach stała armia UPA. Jakby nas złapano, to oczywiście byłoby po nas. Natomiast z wojskiem była szansa, oni na wojsko nie napadali i gdybyśmy byli w szeregu wojskowym, mamy szansę iść. Ale dostać się do tego szeregu było bardzo trudno. W związku z tym, rada w radę, ojciec i krewni z tych Ciemierzyniec doszli do wniosku, że aby się przedostać, trzeba mieć przepustkę od komendanta. A w tej wsi jest komendant. Ponieważ ojciec dosyć dobrze znał język niemiecki, więc padło na niego, że on musi załatwić przepustkę.

Ale jak załatwić przepustkę? Można to było zrobić tylko w ten sposób, ażeby ktoś podjął się na ochotnika do taboru. Niemcy się wycofywali i potrzebowali do taboru ludzi, ponieważ część żołnierzy uciekła i nie mieli ludzi. Ustalili, że w takim razie, ponieważ nie ma nikogo innego

z młodych, to pada na mnie, żebym się zgłosił jako ochotnik i dostanę mundur i konie, i wtenczas będę jechał, i będę mógł zabrać rodzinę. Tak ustalili, a ja nie miałem w tym czasie wiele do powiedzenia, jedynie co mogłem, to pójść z ojcem do tego komendanta.

Poszliśmy. Nie było wyjścia. Niechętnie bo niechętnie, ale nie było wyjścia, poszliśmy do tego komendanta. Ojciec porozmawiał z wartownikiem i ten wpuścił nas do komendanta. Ja oczywiście czekałem w poczekalni, takiej dużej. Ojciec poszedł na rozmowę. Siedział tam, siedział, ja czekam, po jakimś czasie w końcu wychodzi od komendanta taki zadowolony. Myślę sobie tak: „Sprzedał dziecko i zadowolony! No bo jak, sprzedał”. Wyznaczyli mnie, ja nie pałałem ochotą, ale cóż. Ratunek dla rodziny to był. Pytam się:

- Masz przepustkę czy jak?

- Nic, nic. Chodź!

No dobrze, idziemy. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego on taki zadowolony, radosny i tak dalej. Myślę, co jest? Odeszliśmy jakiś kawałek i tata powiada:

- Słuchaj, nie trzeba tobie iść do tego wojska. Mam przepustkę.

- No to fajnie!

- Dał mi przepustkę i będziemy mogli wejść w ten szereg! Okazało się, że ten komendant to Austriak. Jak powiedziałem mu, że ja też służyłem w czasie pierwszej wojny w austriackim wojsku, stał się bardzo serdeczny i postanowił nam pomóc:

- Dam ci tę przepustkę. Pomogę tobie i twojej rodzinie. Tyle mogę zrobić. Niemcy wojnę przegrali już, chłopak po wojnie będzie miał problemy, że był w wojsku niemieckim. Po co mu to. Taki prezent chcesz mu zrobić?

- Ja nie chcę, ale ja nie mam wyjścia!

- No to masz tę przepustkę! I z Bogiem!

Wszyscy byliśmy szczęśliwi. Przychodzimy do rodziny. Przepustka jest. Zbieramy te resztki, co nam zostały. Praktycznie nie mamy nic. To, co mieliśmy, spłonęło; pozostały rzeczy, które mieliśmy na sobie i poza domem, a ja mam tylko to, co na sobie i tyle. Idziemy. Ojciec podchodzi do żołnierza, bo tam co kilkanaście metrów stoi żołnierz, żeby nikt nie wszedł w szereg, który jak wąż idzie cały czas. Pokazuje przepustkę, żołnierz zatrzymuje kolumnę, wpuszcza nas do środka i już idziemy razem z tym korowodem do miasteczka. W ten sposób przedostaliśmy się do

Przemyślan. Jest to dzień czwarty maja 1944 roku. Trzeciego w nocy spalono nas, czwartego przedostałem się do Ciemierzyniec rano i już tam cały czas oni montowali to, żeby przejść do Przemyślan.

Jak sobie przypominam, już było po południu, słychać było od wschodu kanonadę. Idziemy. Przychodzimy tam, pamiętam, był już wieczór. Ojciec miał tam jakiegoś znajomego, na przedmieściach tego miasteczka, to było polskie miasteczko. Były w nim szpital, cegielnia, młyn, tłocznia oleju. Ważna rzecz, że był szpital. O! Było też starostwo powiatowe. Takie to było miasteczko.

Tym sposobem, idąc z uciekinierami, dotarli szczęśliwie do Przemyślan. Zatrzymali się na przedmieściach koło znajomego gospodarstwa. Nie był to bogaty gospodarz, nie miał luksusów. Miał za to dobre serce i chciał pomóc.

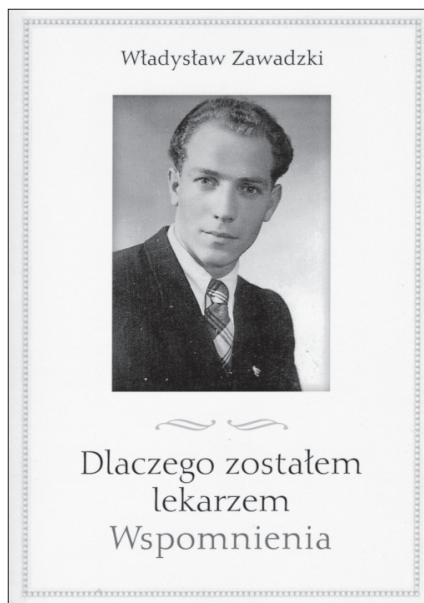
- Chodźcie! Chodźcie! W chałupie nie mam miejsca, ale w stodole za to jest dużo miejsca. Tam się prześpicie, a potem zobaczymy.

- Niech ci Bóg wynagrodzi! - powiedziała Julia i otarła płynącą z oka łzę.

- A co tam. Każdego może spotkać nieszczęście. Musimy sobie pomagać. Tu macie jakieś koce. Noc chyba będzie ciepła. Zakopiecie się w sianie. Rano pomyślimy, co dalej.

Tym człowiekiem, który nas przygarnął, był Polak, nazwiska nie pamiętam, chyba nigdy nie słyszałem. Ojciec robił z nim interesy związane z rzemiosłem, którym się zajmował. Ojciec, jak już mówiłem, robił wozy, w zimie sanie. Oni byli na ty, dobrze się znali. Przygarnął nas mimo zagrożenia, dał nam ciepło i spokój przynajmniej na ten czas.

Noc minęła spokojnie. Po perypetiach z przedostaniem się z Ciemierzyniec do Przemyślan ojciec jeszcze spał. Zeszły z niego nerwy, wszystko się uspokoiło, to śpi. Mama nie pozwalała go budzić. Przy studni



Strona tytułowa książki ze wspomnieniami autora.

ochlapali się wodą. I co dalej? I nie wiemy, co dalej. Na co mamy czekać, co mamy robić. Mama miała jakieś pieniądze i mówi do mnie:

- Masz tu te pieniądze i idź do miasta, może znajdziesz jakąś piekarnię. Chleb trzeba by kupić, może dostaniesz gdzieś mleko, coś musimy jeść. A ty idź, coś kup do jedzenia!

[Jest piąty maja, pogoda ładna, słońce świeci. Wchodzi Władysław do miasta. Miasto opustoszałe. Zawsze było gwarno i ludno, a tu pusto wszędzie. Tak wspomina ten dzień:]

- Szukam gdzieś piekarni albo sklepu, żeby kupić jakiś chleb albo mleko, coś do jedzenia. Miałem pieniądze. Czułem się bogaty. Dostałem od matki dosyć duży banknot. Szukam sklepu. Ja się tak rozglądam, gdzie tu jakiś sklep! Patrzę, tu jakiś fryzjer, tu szewc i tak dalej. Pozamykane wszystko. Naraz widzę, idzie grupa ludzi pod eskortą żołnierzy i wszystkich gonią: „Raus! Raus!”. Stałem i patrzę, jak ich gonią. Mnie też zgarniają! Żołnierz niemiecki złapał mnie za ramię, wepchnął do grupy i raus! Idziemy pod karabinami.

- Co jest? - myślę. No ale nie mam nic do powiedzenia. Idę z grupą. Duża dość grupa, taki sznur ludzi. Pytam tych obok:

- Co to jest? Dokąd nas prowadzą?

Odpowiada jeden:

- Idziemy kopać rowy, zbliża się front i będziemy kopać okopy. Okopy będą tu przed miastem robione i tam idziemy.

Przeszliśmy jeszcze kawałek i widzę łopaty. Sterta łopat. Każdy bierze łopatę i dalej idziemy sznurem. Kiedy tak idziemy, dołącza się do mnie taki jak ja młodzieniec, też z łopatą. No i rozmawiam z tym młodzieńcem, dowiaduję się, że on jest tutejszy. Mówię mu, skąd jestem, rozmawiamy o tym i tamtym, rozmawiamy, rozmawiamy. Idziemy, nie spiesząc się. Ludzie idą, idą i nas wymijają. Naraz patrzymy, a tu już nie ma ani tych żołnierzy, którzy nas pędzili, ani sznura ludzi. Rozglądamy się, widocznie żeśmy się zagadali, a tu zrobiło się pusto. Tak żeśmy się zagadali, że widocznie zatrzymaliśmy się, a to wszystko poszło. Rozglądamy się na lewo, prawo, nikogo nie ma. Co? Będziemy tam szli? Uciekamy z powrotem do domu. Fajnie. Ja muszę zrobić zakupy, szybko wracać, bo mama tam czeka ze śniadaniem na mnie. Zakupy muszę zrobić. Fajnie! Wracamy! Uciekamy! Rzuciliśmy te łopaty i biegniemy do miasta. Wpadamy do miasta. Kawałek było, jak żeśmy odeszli. Wpadamy do miasta, a to miasto takie puste. Naraz słyszymy: Trzask! Trzask! Trzask!

Stukot żołnierskich butów. Oni mieli takie podkute buty. Patrzę! Idzie patrol. Dwóch żołnierzy niemieckich z blachami na piersiach, w hełmach oczywiście, z bronią. Jak nas zobaczyli, to od razu: „halt!“. Aha, halt! To my w nogi bez chwili zastanowienia. Nie będziemy czekać, aż nas złapią.

Z ulicy na ulicę było takie przejście, prawdopodobnie konne czy coś takiego. Taka brama była, uderzyliśmy tę bramę, się otworzyła i my uciekamy. Jak my się nie zatrzymaliśmy, to oni zaczęli gwizdać. Mieli takie mocne gwizdki, ale my na nic nie zwracamy uwagi, mój towarzysz jeszcze się śmieje: „A gwizdź sobie!“. Wpadamy na następną ulicę, a tu stoi taki sam patrol jak ten, przed którym uciekliśmy. Dwóch ich stoi z bronią gotową do strzału. My szczęśliwi, wyskoczyliśmy na tę ulicę, a tu znowu „Halt! Hände hoch!“ Kurczę! Nie wiedziałem za bardzo, co to Hände hoch! Ale on wiedział. Daje ręce na głowę, to ja też. Podchodzą do nas, bagnetem pod żebro i raus. No i prowadzą nas gdzieś. No idziemy. Okazuje się, zaprowadzili nas do budynku starostwa. I do piwnicy. Potężna była ta piwnica, a tam już było trochę ludzi. Pytam się, co to? Co to będzie? Słyszę, że nie wiadomo, zatrzymali! Jeden mówi, że już siedzi tutaj drugi dzień. W tej sali byli sami mężczyźni. Być może w innych pomieszczeniach trzymano również kobiety, tego nie wiem.

Siedzimy w tej piwnicy. W międzyczasie przychodzą i spisują. Kto? Co? Skąd? Kiedy urodzony? Gdzie? Podajemy to, co każdy wie. Pytają o dokumenty. Ja nie mam żadnych dokumentów. To nic! Pogadali! Pogadali i poszli. Jeść nie dają. Siedzimy w tej piwnicy. Na szczęście jest ubikacja, do której można wyjść. To już jest całe szczęście. Siedzimy. Nie ma jak się skontaktować, żeby powiedzieć rodzinie, gdzie jestem, że nie wrócę. No co zrobić? Ale po tym całym zmęczeniu, jednocześnie jakby po tym zwycięstwie, że uciekłem spod gilotyny, zmęczony siadłem w kącie i usnąłem. Usnąłem. Naraz budzą. Ciemno jest. A oni budzą. I okazuje się, że wypędzają nas z tej piwnicy. Wojsko w hełmach wypędza nas na plac. Na placu ustawiają po dwóch, mamy za rękę się trzymać, i ustawili cały szereg i naprzód. Bez światła. Miasteczko nieoświetlone. Pędzą nas. To był piąty maja. Pędzą nas do pociągu. Dochodzimy do pociągu na stację. Pakują nas do towarowych wagonów, poupychali, policzyli, zaryglowali wejście i po chwili, dosłownie po chwili, już pociąg ruszył. Pociąg ruszył, jedzie na Lwów.

We Lwowie się króciutko zatrzymuje i ze Lwowa na Kraków. Kiedy skręca na Kraków, w tym wagonie zaczyna się jakiś ruch. Kilka

starszych osób zaczyna mówić o Oświęcimiu. Mnie to nic nie mówiło. Nic nie wiedziałem o Oświęcimiu, ale niektóre osoby już płaczą, że to do Oświęcimia, do Oświęcimia. A mnie to nie rusza, że jadę do Oświęcimia. Grunt, że uciekłem spod gilotyny. Naraz, za Krakowem to było, wielka radość. Skaczą wszyscy, całują się. A co się stało? Nie jedziemy do Oświęcimia. Jedziemy prosto. A do Oświęcimia byśmy skręcili na lewo. Wiozą nas chyba do Niemiec na roboty. No a ten Oświęcim to w Polsce, pytam. W Polsce! Zobaczyli, że ja nie mam o niczym pojęcia, i przestali ze mną rozmawiać. Jedziemy! Jedziemy! Zatrzymujemy się na jakiejś stacji i nasz wagon towarowy jest doczepiony do pociągu osobowego. Gdy przyjeżdżamy na jakąś stację, to okazuje się, że ktoś już czeka na tych ludzi. Ktoś przychodzi, wyczytują kogoś, zabierają. Wyczytują, taki, taki, taki, wysiadać. Tu ktoś czterech zabrał, tu trzech zabrał, tu dwóch zabrał. Pomału ubywa ludzi. Patrzę, a nas me wyczytują. Dziwię się, czemu nas nikt nie chce. Nikt nas nie chce kupić, mówię. Ale okazuje się, że faktycznie nas dwóch nie zabierają. Zostaje nas dwóch. Ja i ten kolega, z którym w Przemyslanach mnie złapano.

Pociąg dalej idzie, a my w tym wagonie towarowym za składem osobowym. Na samym końcu jakieś miasteczko, nie pamiętam, jak się nazywało, zatrzymał się. Oczywiście pociąg osobowy zatrzymywał się na każdej stacji. Zatrzymał się, otworzyły się drzwi i nam każą wysiąść. Wysiedliśmy. Stoi żołnierz i kierownik pociągu. Wojskowy powiada, że teraz pojedziemy osobowym pociągiem, i pokazuje na kierownika pociągu w czerwonej czapce, że on nam wskaże, gdzie mamy wysiąść. A już teraz pojedziemy osobowym. Ale ma przygotowane gazety, które mamy sobie podścielić, widzi, jak my wyglądamy, brudni i obdarci. Mamy siąść na tych gazetach i jechać, a ten kierownik powie nam, w którym miejscu mamy wysiąść. No to fajno. Faktycznie, zaprowadził nas do przedziału, siedliśmy, prześcieliliśmy to ładnie i jedziemy. Trudno określić, jak długo jechaliśmy, ale niedługo. Rano, dzień był chyba szósty maja. Pociąg się zatrzymał. Konduktor czy też kierownik pociągu przyszedł do nas, kazał wysiąść i pokazuje nam cywila, mówiąc, że jest on teraz naszym opiekunem i nas zabierze.

No i okazuje się, że ten pan nas zabiera i rozmawiamy z nim. Mówi on trochę po niemiecku, trochę po czesku. A ja nie znałem niemieckiego. Chociaż minimalnie coś tam umiałem. Bo ojciec znał dobrze niemiecki i próbował mnie nauczyć, ale ja nie będę uczył się takiego języka. Jestem



Rynek w Litomierzycach (Republika Czeska). Fot. Karelj, domena publiczna.

patriotą i nie będę się uczył języka wroga. Ale trochę pamiętałem z tego, co ojciec starał się mi jakoś wtłoczyć, tak że znałem kilkanaście słów. Może nie tak umiałem mówić, jak rozumiałem. Słyszałem, to rozumiałem. Ale on trochę mówił po niemiecku, trochę po czesku i ja doskonale go rozumiałem. Natomiast koleżka, który był ze mną, ni diabła nie znał tego języka. On mnie pyta, co on mówi, co on mówi. Ja mu mówię, że prowadzi nas on do zakładu, dostaniemy tam kwaterę, będziemy pracować w chłodni, mieszkać tam i tak dalej, i tak dalej. Dostaniemy kartki na żywność.

Zaprowadził nas tymczasem do gestapo. Gestapo to oczywiście zdjęcie, odciski palców, prawda! Jeszcze taka śmieszna historia, że jak mówimy narodowość polska, a miejscowość Lwów, to nie Polska - Lwów to Ukraina. Ja mówię - nie! Lwów to Polska. No to dobrze. Dali nam literę „P”. Ten, co nas prowadził, to był taki kadrowy, czyli personalny zakładu i dał nam to „P”. Już raz miałem to „P”. Ale myślę sobie, co? Powiadam, to jak my będziemy chodzić z tym „P”? Czy tam są jeszcze Polacy? Mówi, że chyba są. Ale nikt nie nosi tego „P”. Każe schować to. Nie trzeba tego nosić. Po co to. To fajno! To do kieszeni. Przywiozłem to „P”. Jeszcze je mam tutaj.

[Wylądował Władysław w Sudetach w miejscowości Litomierzyce. Obecnie to Czechy. W tamtym 1944 roku przynależne były do Niemiec. Zresztą jak całe Czechy.]

I w ten sposób znaleźliśmy się na miejscu. Mamy dostać karty na żywność. Wszystko nam dostarczą. Są łóżka. Przyszli pracownicy i okazuje się, że jeden z nich jest z mojej miejscowości. Niejaki Dzikowski. Stasio! Zdziwienie ogromne, ale jesteśmy. Jestem szczęśliwy. Jest ktoś znajomy.

Oczywiście zrobili coś do jedzenia, do picia. My na razie nie mamy nic. Ale jest się gdzie umyć. I jest w każdym razie jedna rzecz wartościowa. Już nie boję się. Do tej pory spałem „z otwartymi oczami”, zawsze czuwając, gotowy do ucieczki. Niby spałem, ale wszystko słyszałem, co kto mówi. Tutaj będę mógł w końcu spać.

On powiada:

- Co tu zrobić? Wy nie macie jeszcze łóżek, dopiero jutro je dostaniecie. To ja się prześpię z kolegą, a ty kładź się na moje łóżko, jesteś zmęczony.

No zjadłem, umyłem się, już jakoś wyglądam, ale ubranie moje jest straszne. Ale on powiada, że ma jakieś ubrania, może będzie na mnie pasowało. Ja jestem cały szczęśliwy, że on jest tutaj i będzie mógł mi w jakimś sensie pomóc.

Zjedliśmy kolację, no i spać, bo oni rano do pracy, a my rano mamy się zgłosić do tego personalnego po karty. Położyłem się spać. Śpię! Obudziłem się, to znaczy obudzili mnie i śmieją się. Najpierw byli tacy zdziwieni, że ja się obudziłem, ja pytam się:

- Co jest?

- Słuchaj! Ty wiesz, ile ty śpisz już?

- Ile?

- Drugą dobę! Bez przerwy.

- Jak to śpię drugą dobę? - Myślałem, że oni sobie ze mnie żarty robią.

- Jak usnąłeś, to spałeś noc, dzień i noc. Rano nie wstałeś do pracy. Budziliśmy cię, a ty spałeś.

Dzikowski powiada:

- Ja cię po twarzy prałem, a tobie głowa latała i nic. Zawołaliśmy lekarza, bo nie wiedzieliśmy, co z tobą. Niby puls był, oddychałeś, ale spałeś. Lekarz przyszedł, badał cię.

Myślę, że kpiny ze mnie robią, żartują sobie. Ale Dzikowski mówi:

- Wiesz, że to jest już następny dzień? Spałeś noc, dzień i noc bez przerwy.

- To niemożliwe. Żarty sobie robicie.

Ale patrzę na daty. Zgadza się.

- Będziesz miał problem, bo miałeś być wczoraj w pracy. A nie byłeś w pracy. W Niemczech to tak nie ma.

- To czemu żeście mnie nie obudzili? Ja bym poszedł, gdybyście mnie obudzili.

Ale mówiąc szczerze, nie miałem żadnego problemu z tego powodu. Zgłosiłem się do pracy, postawiono mnie do szeregu, gdzie mam z kim pracować i koniec. W międzyczasie dostaliśmy łóżka, kartki i stanąłem do pracy. W tym miejscu przepracowałem prawie rok. Do maja, do końca wojny. Praca polegała na rozładowywaniu produktów żywnościowych. To była chłodnia produktów żywnościowych. To były magazyny i te magazyny były jeszcze w budowie. Potężne magazyny. Cztery piętra w ziemi i cztery nad ziemią. Były tak obszerne, że tam wózki elektryczne jeździły. Nie wiem, czy to były magazyny dla wojska, czy dla cywili. W każdym razie zwożono tam żywność. Przywożono jajka, zboże, bekon, czyli mięso, całe półtusze, różne konserwy. Do przechowywania tego musiała być odpowiednia temperatura, odpowiednie nawiewy i wywiewy. Bardzo ładnie było to wszystko zorganizowane. Praca polegała na rozładowywaniu. Nas sześciu ulokowano tam na miejscu. Jeżeli transport przyszedł w nocy, budzono nas i rozładowywaliśmy. Chodziło o to, żeby nie płacić osiowego.

Oprócz Polaków pracowali tam również Włosi. Część z nich nie zgodziła się pójść na front wschodni. Zostali więc internowani. Początkowo mieszkali tam obok nas, ale po jakimś czasie ich zabrano do miasta i z miasta przychodzili do pracy. Ale na razie mieszkali obok nas. Ci Włosi, młodzi ludzie pracowali, byli dobrze ubrani, zadbani, odżywieni, natomiast ja wyglądałem prawdopodobnie szkaradnie.

Po pierwsze, byłem chudy, po drugie, byłem słaby, nie miałem siły. Ostatnie dni na wolności spędziłem właściwie bez jedzenia. Żyłem w ogromnym napięciu i stresie. Byłem bardzo osłabiony. Był jeden sklep wyznaczony, gdzie mogliśmy kupować. Wymienialiśmy tam kartki na żywność. Kartka była na półtora bochenka chleba, dwanaście deko margaryny, dwanaście i pół deko marmolady. Półtora bochenka chleba to był przydział

dla ciężko pracującego. To była tygodniowa racja żywnościowa. Cukru też tam było trochę. Chodziłem do pracy. Zjadłem chleb. Nauczony smutnym doświadczeniem, że nic nie można zostawiać, zjadłem szybko, bo jak zostawię, to mi zabiorą i nie będę miał nic. Czyli chodziłem do pracy głodny. Tak byłem osłabiony po tym wszystkim i tym, że nie miałem regularnego żywienia. Gdy posłano czasem mnie na dół, powiedzmy po jakąś część, bo była potrzebna, to szedłem kilka schodów i odpoczywałem. Jak wróciłem na górę, to byłem cały spocony.

Przywożono jaja w skrzyniach, po trzysta sześćdziesiąt jaj, i to się nosiło na postument, tam podchodził wózek, podnosił skrzynki i je dalej rozwożono. Włosi brali te trzysta sześćdziesiąt i stawiali. Czasem jak trzeba było dalej przenieść, to brali jedną skrzynkę, nawet dwie i przenosili. Ja jak wziąłem jedną, to mną rzucało. Skrzynka latała, a ja za nią. To się przestraszyli, bo jak skrzynka upadnie i się rozbije, to wszyscy dostaną w kość. Albo dostaną w kość, albo pójdą pracować na budowę.

Mówili nam, że jak któryś coś ukradnie albo zniszczy, to pójdzie na budowę. Gdy więc zobaczyli, że ja nie mam w ogóle siły, to nie pozwolili mi nosić. Bali się, że upadnę, rozbiję i dopiero będzie katastrofa, a ich mogą pociągnąć za to, że to sabotaż. Wtenczas zmusili mnie do picia jajek. Nie umiałem i nie lubiłem. Ale kazali. To oczywiście było nielegalne. Jak Niemiec był gdzieś poproszony, robiło się jakiś problem, żeby on odszedł, to oni rozrywali opakowanie, robiło się zasłonę z dwóch, trzech ludzi i wyjmowali jajka. Robiło się otwór od spodu, z wierzchu przykładano się do ust i wciągało się zawartość skorupki. I jajka nie ma. Skorupkę oczywiście wkładało się z powrotem. I tak jedno albo dwa jajka musiałem wypić. Ledwo to dawałem radę wypić, ale musiałem, bo straszono mnie, że dostanę choroby.

Wśród tych Włochów był jeden Macedończyk. I okazało się, że język macedoński jest bardzo podobny do polskiego. Ten Macedończyk mówi do mnie:

- Ty pij! Bo oni mogą ci złamać rękę albo nogę.

- Jak! Co ty mówisz?

- Oni nie żartują! Oni boją się, że jak upadniesz i narobisz kłopotu, to pójdą jako grupa do cięższej pracy.

Trudno! I w ten sposób nauczyłem się pić jajka. Oni wszyscy zresztą pili. Robili taką zasłonę, przekłuwali i pili. Robili to bardzo sprytnie. I ja też piłem. I w ten sposób udało mi się przetrwać mimo tej

ciężkiej pracy. Bo praca polegała na noszeniu tych ciężarów. Bo tam przychodził bekon, połówki. Nieraz ta połówka ważyła ponad sto kilogramów. Potrzeba było dużo siły, żeby to przerosić. Ale jednocześnie oni się bali, wynieść nie można było, bo może być w każdej chwili kontrola i co? Co można było, to tyle co zjeść na miejscu. W ten sposób się tam dożywiali przy tej żywności. Nie zawsze było co zjeść. Czasem przychodziło tylko zboże, jakieś skóry albo coś takiego.

Nas usytuowano na terenie zakładu, mieliśmy tam pokój, łóżka i kuchenkę do podgrzania herbaty i tak dalej. Więc jeżeli przychodził wagon w nocy, ażeby nie płacić osiowego tak zwanego, to nas budzono i musieliśmy rozładować. Bo Włosi byli w mieście. My na miejscu musieliśmy rozładować, żeby uwolnić wagon.

W międzyczasie spotkałem stryjka syna. Mój stryjeczny brat pracował w piekarni. Ja nie wiedziałem, że on jest tutaj. Stoję pewnego razu na rampie, i widzę jedzie wóz, którym powozi woźnica. Przyglądam się temu woźnicy i myślę, że jest podobny do mojego brata stryjecznego. Uznałem, że to niemożliwe, chyba mi się coś przywidziało. Po jakimś czasie znowu go zobaczyłem. On jechał, akurat nikogo nie było w pobliżu. Zawołałem jego imię.

- Michał!

Woźnica zareagował na to imię. Podniosłem rękę i pomachałem. A on wtedy powiedział przestraszonym głosem:

- O piętnastej będę jechał, bądź na ulicy.

Michał był urodzony w dwudziestym drugim roku. Rówieśnik mojego brata Michała. My, robotnicy mieliśmy przepustki. Mogliśmy wychodzić do miasta ale tylko w wyznaczonych granicach i określonych godzinach. Również mieliśmy wyznaczony sklep, w którym mogliśmy robić zakupy. Poszedłem na spotkanie z Michałem. Uściskaliśmy się.

- Co ty tu robisz? - Pytam Michała.

- Ja pracuję u piekarza, rozwożę chleb. A ty?

- Ja pracuję w magazynach, w chłodni.

- Aha! W tych magazynach na przedmieściu, co się rozbudowują?

- Tak! Powiedz mi czy możesz mi jakoś pomóc. Pracuję ciężko a mam tylko półtora bochenka chleba na tydzień.

- Nie mogę dać ci chleba. Rozliczam się z każdego bochenka. Ale Niemcy już nie są tacy skrupulatni. Wcześniej kartki były bardzo liczone,

naklejane na odpowiednie arkusze. Teraz sypią je na parapet okienny. Ja ci zorganizuję parę tych kartek, ale ty się dowiedz, czy sklepowa przyjmie ci luźne kartki.

- Dobrze! To ja zapytam.

- Wiesz! Bo ona może żądać całej karty żeby odciąć kupon na chleb. Będąc w sklepie pytam ekspedientkę:

- Czy będzie pani respektować luźne kartki na chleb?

- Tak! Mnie jest wszystko jedno, czy luźne czy w kuponie. Ja nie muszę widzieć twojej karty, możesz sobie ją trzymać w domu.

I w ten sposób kuzyn bardzo mi pomógł. Tym sposobem miałem nie półtora kilograma, ale trzy kilogramy chleba. Jadłem więcej. Miałem chleb, miałem możliwość coś skubnąć w pracy. Jak się okazało na koniec wojny, ósmego maja ja ważyłem osiemdziesiąt kilogramów. Miałem krzepę. Potrafiłem brać pięćdziesiąt kilogramów pod jedną pachę, pięćdziesiąt kilogramów pod drugą pachę i po schodach iść na górę. Urządzaliśmy sobie nawet z kolegami takie zabawy, kto więcej podniesie.

* * *

Mój brat dowiedział się o mnie od tego naszego brata stryjecznego Michała i w ten sposób nawiązaliśmy kontakt. Był całkiem niedaleko ode mnie. Pracował w składzie węgla. Ja go tam odwiedziłem. Brat mieszkał w pokoju z kolegą. Pracował z tym kolegą w składzie węgla. To był skład prywatnego właściciela, Niemca oczywiście. Mieścił się przy torach. Oni rozładowywali wagony i potem rozwozili węgiel do klientów. Niemiec im płacił za tę pracę. Nie wiem, czy ich żywił, ale wiem, że płacił. To już był ten okres, kiedy Niemcy nie byli tacy jak w trzydziestym dziewiątym. Niemcy widzieli, że już wojnę przegrali, już byli pobłażliwi i lepsi. Ja dostawałem z przydziału też mąkę. Oprócz chleba, masła, marmolady dostawałem też ziemniaki. Ponieważ w domu często robiłem z matką pierogi z ziemniakami, to Michał poprosił, żebym zrobił takie domowe pierogi jak on z kolegą przyjedzie do mnie. Ten jego kolega to był Matkowski, chłopak z naszej wioski. Zrobiłem te pierogi. Ziemniaki, ser, mąka, woda. Kuchenkę też miałem. Nalepiłem pierogów. Oni przyjechali. Ja miałam też tłuszcz. Co to była za uczta, rany boskie, co to była za uczta! Oni byli zachwyceni. Od tej pory nie miałem spokoju, co rusz musiałem lepić pierogi. Wymigiwałem się od tego. Oprócz brata i jego kolegi do tych pierogów byli jeszcze moi współmieszkańcy. Nas mieszkało trzech Polaków, Belg i Niemiec. Co to jest pięć, sześć pierogów na jednego, a jeszcze

w tłuszczu? Trzeba było tych pierogów trochę nalepić. Oni wpadali na niedzielę, niedziele mieli wolną. Robiłem z okazji ich przyjazdu małe przyjęcie z pierogami w roli głównej.

Po pół roku pracujący tam Włosi nie mogli przy mnie porozmawiać. Wiedzieli, że rozumiem, co mówią, a i ja potrafiłem po włosku rozmawiać. Miałem chyba zdolności do języków. Szybko łąpałem, co oni mówili. Używali również przekleństw, zwłaszcza gdy coś się stało. Mówili wtedy „parcodio”. Pewnego razu mnie maszyna skaleczyła w palec i ja też przekląłem po włosku: „parcodio”. Wtedy jeden z nich, właściwie to był Macedończyk, powiedział do mnie:

- Ty nie mów tak jak oni!

- A dlaczego?

- Bo nie wiesz, co to znaczy!

- To prawda. Nie wiem, co to znaczy. Powtarzam tylko to, co oni mówią w takich sytuacjach.

- Ale ty nie wiesz, co to znaczy!

- To mi powiedz.

- To znaczy: świnią Matka Boska!

- To rzeczywiście straszne. Oni tacy katolicy i tak mówią.

No więc tak to wyglądało w skrócie do dziewiątego maja. Dziewiątego maja, to znaczy już ósmego maja, miasteczko się poddało. Flagi zostały wywieszane, przysłała Armia Radziecka i wyzwoliła.

W międzyczasie byłem świadkiem nalotów dywanowych. Coś makabrycznego. W kwietniu w słoneczny dzień eskadra bombowców leci nad Drezno, a to było od nas widoczne. Tam wysypuje bomby i zawraca. Nawracali nad tym naszym miasteczkiem. Całe eskadry latały. Z jednej strony to radość, że już koniec wojny, prawda, że będzie się wracać. A z drugiej strony widzimy, jak niszczy się to piękne miasto. I tak dotrwaliśmy do końca wojny w tym miejscu.

Dziewiątego maja jest niedziela. Wychodzimy do miasta. Kto zakłada sobie opaskę biało-czerwoną - wiadomo, że to jest Polak, jeżeli ma czerwoną opaskę, to znaczy, że Rosjanin albo Ukrainiec, a jeżeli nie ma nic, to znaczy, że Niemiec i koniec. I tak chodzimy po tym miasteczku, wolni, swobodni. Zaglądamy w miejsca, gdzieśmy wcześniej nie mogli chodzić. Naraz ni stąd, ni zowąd alarm! Dziewiąty maja, alarm, co to jest? Syreny wyją! A to niemiecki samolot zrzuca bomby na to miasteczko. Jakieś nieduże bomby. Zrzucił w jednym miejscu, w drugim, oczywiście

wybuchy. Jak są wybuchy, to ja uciekam, jak wszyscy uciekają. Wpadam do domku niedużego, ale domek zamknięty. Wciskam się we framugę. Naraz niedaleko wybucha jakaś nieduża bombka. Kurz, piasek, zasypało mi oczy. Myślę sobie, kurcze pieczone, wojna się skończyła, a ja zginę. Po chwili znów w drugim miejscu zakurzyło. Rzuca ten samolot bomby jakieś nieduże. Widzę, że marynarkę mam porwaną na piersi całą. Tym zwirem dostałem i porwało mi marynarkę. Ciało jakoś nieuszkodzone. Koszula też trochę poszarpana. A były tam takie bele, słupy telegraficzne, taki stos tych słupów, na przedmieściu. Tak się przestraszyłem, że jak wlałem pod ten stos, to siedziałem, chociaż już dawno było po nalocie. Bałem się wyleźć. W końcu wylałem stamtąd, już nie ma bombardowania. Zdałem sobie sprawę, że to koniec wojny, a ja teraz zginę. To przecież nieprawdopodobne. [1]

Wyszedłem stamtąd, z tej kryjówki, i wracam szybciotko do domu. Spotkałem kolegów i okazało się, że jeden z naszych kolegów zginął na moście - tam płynęła Łaba i tam zginął. A jeden jest ranny, jest w szpitalu. No to gdzie ten szpital?

Idziemy do szpitala! Przychodzimy do tego szpitala. Szpital na przedmieściu, ładny, duży. Szpital wojskowy, pełno rannych, Niemców, Ruskich. I taki obrazek zapamiętałem. Leży Niemiec na łóżku, jęczy, jest ranny. On jęczy, widocznie nie ma środków przeciwbólowych. Na noszach obok niego leży Rosjanin. Też ranny, jęczący, płaczący, błagający o pomoc. Nic, nikogo nie ma, żadnej pomocy. My chodzimy, szukamy tego kolegi. Gdzie on jest? Gdzie on jest? Po salach latamy! Nigdzie go nie ma. Wołamy! Nie ma. Szukamy. Oblecieliśmy jedno piętro, drugie, trzecie piętro. Nie ma. Wracamy w to samo miejsce, gdzie leżał Niemiec na łóżku, a Rosjanin na noszach. A teraz już odwrotnie jest. Rosjanin jest na łóżku, a ten Niemiec na noszach. Sytuacja się zmieniła.

Przychodzimy do domu i okazuje się, że ten nasz kolega, który miał być w szpitalu, owszem, trochę jest podrapany, ale założyli mu opatrunek i wrócił do domu. Tak to się stało jeszcze dziewiątego maja, a ten dziewiąty maja to Niedziela.

W poniedziałek rano, dziesiąty maja, chcemy jechać do domu. Koniec wojny, ale pociągi nie chodzą. Nie ma żadnych autobusów ani pociąg-

[1] W maju 1945 roku Litomierzyce zostały zbombardowane przez sowieckie lotnictwo, które próbowało zniszczyć most na Łabie, aby nie dopuścić do amerykańskiej niewoli wycofującej się armii niemieckiej. Może autor był świadkiem tego nalotu. Dop. red.

gów, nic. My jedziemy do domów, nie ma tak. Mamy takiego koleżkę, który pracuje w składzie węgla, który woził węgiel. On powiada do nas:

- Jedziemy do domów. Zabieramy Niemcowi traktor, przyczepę, bierzemy walizki, swoje rzeczy, ja umyję przyczepę i jedziemy pomalą. Paliwo mam, jak braknie, to się po drodze gdzieś weźmie, na pewno gdzieś będzie, albo kupimy od Ruskich, albo coś, jedziemy.

No i zebraliśmy się dziesiątego rano, pozbieraliśmy swoje rzeczy. Ja miałem dwie walizki i koledzy też, idziemy.

Rozdział VIII. Z niewoli do domu

Zniknęli gdzieś nasi nadzorcy, jakby pod ziemię się zapadli. Wychodzimy na zewnątrz budynku, który przez rok był moim „domem”. Widzę jednego, widzę naszego szefa. Niejaki pan Giezda. Jeszcze wczoraj bardzo ważny, dzisiaj zamiata drapakiem podwórze, żeby było ładnie i czysto. Kłania się nam i w czystym czeskim języku pozdrawia nas. Weześniej mówił tylko po niemiecku, a tu okazuje się, że zna czeski, on nas podsłuchiwał i świetnie rozumiał. Wiem, że należał Giezda do SA. Widziałem go kiedyś w mundurze tej formacji, pojawił się któregoś dnia wystrojony w zakładzie. Pożegnaliśmy go, a on życzył nam powodzenia. W sumie nie był najgorszy, też w pewien sposób był w niewoli, też walczył o przeżycie.

Przed nami długa droga. Mamy swoje rzeczy spakowane w walizkach. Byłem rok w niewoli. Znalazłem się tam z łapanki w roboczych port-



Spacer w chwilach
wolnych od pracy. Od
prawej: Michał
Zawadzki, jego znajoma
i Władysław Zawadzki.
Na robotach
przymusowych
w Litomierzycach,
1945 r.(?)

kach. Za pracę wykonywaną pod przymusem, nie z własnej woli, miałem płacone. Płacono w niemieckich markach. Wraz z wypłatą dostawaliśmy odcinki z wykazem przepracowanych godzin, łącznie z nadgodzinami. Nadgodziny były płacone ekstra. Była praca, była płaca, wszystko zgodnie z niemieckim porządkiem. Dostałem nawet talony na ubrania, które zrealizowałem w sklepie za zarobione pieniądze.

Wychodząc z domu niewoli, miałem dwie walizki zapakowane po brzegi i na sobie porządne ubranie. Postanowiliśmy z towarzyszami niedoli, że w drogę do wytęsknionego domu udamy się traktorem z przyczepą. Jeden z naszych jeździł tym traktorem u Niemca. Załadowaliśmy się na przyczepę, walizki mamy przy sobie. Jedziemy na wschód.

Jedziemy do kraju, już w tej chwili dokładnie nie pamiętam kórędy. Ale jeszcze w mieście zatrzymuje nas policja czeska. Co my mamy? Mamy tutaj swoje rzeczy. Mamy dwa płaszcze letnie. „E! To nie wasze. Jeden trzeba zabrać”. I zabrali nam połowę naszych rzeczy. Tłumaczenie ich było takie, że nie mogliśmy mieć dwóch rzeczy. To na pewno kradzione. Ale pies z nimi. Nam już wszystko jedno. Przeszukali nam walizki, coś tam pozabierali. Niech będzie! A my jesteśmy weseli, śmiejemy się, jest słońce, ładnie, pięknie, jedziemy do domu. Jest dziesiąty maja, ładna pogoda, lecimy do domu. Przejechaliśmy kawałek drogi, jakieś dwadzieścia kilometrów, zatrzymuje nas Wojsko Polskie.

- Ech! Chłopaki, a co wy?

A my mamy flagę białą-czerwoną. Kto tu jedzie, żeby było wiadomo.

- Chłopaki! Trzeba oddać traktor!

- Co to znaczy oddać traktor? To jest jego traktor, bo on pracował tym traktorem, a my teraz jedziemy tym traktorem do domu, bo pociągi nie chodzą. My musimy jechać do domu, do kraju.

- Nie! Musicie oddać traktor! Nie możecie jechać.

Co to znaczy nie możemy jechać! - stawiamy się. Nie damy traktora. Tamci coś tam zaczynają. Rzuciłem się do nich, z wyzwiskami, od gówniarzy ich wyzwiałem. Co to kurna! Wojna się skończyła, a on będzie mnie straszył! Mam już dość tego! Widzą, że jakiś narwaniec, zostawili nas i poszli i przyprowadzili oficera. Przyszedł porucznik. Przywitał się, zaczyna rozmawiać.

- Skąd, kto wy?

- My z pracy przymusowej, chcemy, musimy jechać do kraju,

do domu.

- Słuchajcie, chłopaki! Lepiej by było oddać ten traktor.

- Dlaczego? - pytam. - Czym będziemy jechać? Pieszko będziemy iść?

- Nie. Jak zostawicie traktor, to my wam damy konie, bryczkę, walizki sobie położycie i pojedziecie we czterech. A tak to daleko nie zajdziecie. Pojedziecie dalej, to Rosjanie was zatrzymają i nie będą rozmawiać. Zaczniecie się stawiać, dostaniesz kulkę i po tobie. I nikt cię nie odnajdzie. My idziemy z tyłu. Oni przed nami. Jak będziemy mieli traktor, to będziemy mogli sobie podciągnąć, czy to amunicji, czy czegoś. Idziemy w taborze i teraz amunicja już idzie do tyłu i musimy ją odstawić.

- Czekał - mówię - musimy się naradzić.

No dobra! Zostawiamy traktor i przyczepę. Oni przyprawdzają konie. Ładna para koni. Bryczkę, ładną. Kładziemy walizki i żegnamy wojsko. Ale kto umie końmi powozić? Mówię, że umiem z końmi się obchodzić. Jedziemy. Jedziemy tymi końmi i jest miejscowość Lipa [*zapewne Czeska Lipa - J. W.*]. Tam zatrzymują nas. Jest stadion, spędzają wszystkich co jadą. I tutaj zaczyna się selekcja. Selekcja polega na tym, że każdego pytają, skąd on i tak dalej. Żądają dokumentów. Badają, czy ty naprawdę jest się na przykład Polakiem.

Radziecki oficer sprawdza, kim jesteś. Czy na pewno Polakiem. Po przebadaniu decyduje, czy mówisz prawdę, czy jesteś Polakiem. Wtedy pozwala ci iść. Wychodzę i widzę swoje walizki, przy nich stoi żołnierz radziecki, który mówi:

- To są twoje walizki!

- A gdzie są moje konie?

- Konie! Konie są w miasteczku.

- Daleko do miasteczka?

- Dwanaście kilometrów.

- O kurczę! Ja z tym bagażem pójdę?

Zostawiłem część rzeczy, które wydawały się mniej wartościowe i mniej potrzebne. Resztę spakowałem do jednej walizki. Podobnie zrobili moi koledzy. Przychodzimy do miasteczka. Konie są. Pilnujący ich żołnierz, po wylegitymowaniu, pozwala je zabrać. Możemy jechać. Środek transportu mamy, ale większość naszego skromnego majątku przepadła. Prawie wszystko zostawiliśmy. Śmiejemy się z siebie i do siebie, że tak ładnie nas Rusczy urządzili. Pamiętam tę miejscowość. To było Zittau, nie-

mieckie miasto. Jedziemy stamtąd do Polski. Oczywiście nie jedziemy cały czas, robimy przerwy. Przyjeżdżamy do jakiegoś miasteczka. Idziemy do Niemca. Pytamy go, czy możemy przenocować. Niemiec oczywiście zezwala na nocleg, daje zgodę. Czy w stodole możemy zostać, jest maj, ciepło? Niemiec pozwala. W tym czasie dołącza się czwórka dziewczyn. Z flagą, cztery panie młode i jadą. „Chłopaki, mówią, my będziemy z wami, boimy się napaści. Będziemy jechać za wami”. Dobrze?

Dołączyły i jadą za nami. Chłopaki się śmieją, no, już mamy ogon. Jadą za nami, też końmi. Jedna powozi, pracowała u gospodarza, to chyba nawet tego gospodarza konie. Zatrzymujemy się na noc w jakiejś miejscowości, nie pamiętam nazwy, wieś jakaś. Stajemy przed gospodarstwem i pytamy gospodarza, czy moglibyśmy przenocować. On zezwala, oczywiście w stodole. Siano jest, słoma i tak dalej. Dziewczyny się barykadują w słomie i proszą, żebyśmy ich pilnowali, bo dookoła pełno Rosjan. No dobrze, będziemy pilnować.

Jest już pod wieczór. Przychodzi do nas oficer radziecki, kapitan, lejtnant. Zaczyna rozmawiać, co, jak, skąd. Wiadomo, że sklepy były nieczynne, jak jechaliśmy, ale zdobyliśmy trochę jakiegoś alkoholu. Mamy ten alkohol ze sobą. Z Ruskimi, jak jest alkohol, to można wszystko załatwić. Ten oficer pyta, czy może mamy coś wypić. Mamy. Ja nie miałem pociągu do alkoholu nigdy. Ale widzę, że on jest chętny, no to jeden z kolegów powiada, żeby wlać mu, niech się napije, jak się napije, to szybciej sobie pójdzie. Wlałem mu szklaneczkę. Jak wypił, to zaczął rozmowę. Zaczął nam opowiadać ciekawe rzeczy. Ja mu mówię, że my wygraliśmy wojnę, Polska wygrała, to Polska teraz będzie od morza do morza. Tak ma być. On się zaczął śmiać. „Polska będzie jak ten ptak, jak ten gołąb będzie, tylko będzie obskubany, żeby nie mógł latać. Nie będziecie mogli mieć samolotów. Będziecie mogli jeździć pociągami, samochodami, ale samolotów nie będziecie mogli mieć”.

Jak to samolotów nie będziecie mogli mieć? Zaczynamy się kłócić z nim. On swoje, a my swoje. A jeszcze pod wpływem alkoholu to dyskusja jest coraz głośniejsza i zaciekła. Czasu trochę upłynęło, cośmy się posprzeczali, to posprzeczali, ale czas iść spać. Więc trzeba go odprowadzić. No i jak zwykle. Jak już nie ma komu, to pada na mnie. Chłopaki mówią „idź, odprowadź”. Ja mówię „niech ktoś z was idzie”. „Nie, ty idź. Ty umiesz po rosyjsku”.

Idę, odprowadzam go jakieś kilkaset metrów do jego kwatery.

Idziemy i dochodzimy jakby do jakiejś doliny, otoczonej wkoło drutami. Cały teren oświetlony. W rogach stoją wieże wartownicze, a poza tym w tym terenie chodzi pełno ludzi. Niemieccy żołnierze i niemieccy cywile. Pełno ich za tymi drutami. Rosyjscy żołnierze stoją, oświetlony teren. Podchodzimy do wartownika, jest warta. Wpuszczają go na teren. Odchodzę, ale słyszę, że wartownik pyta tego oficera o mnie, co ja za jeden. „A, to taki głupiec, taki durak”, mówi po rosyjsku. „Ten durak mówi, że Polska będzie od morza do morza”. Na to wartownik powiada: „to dawaj go tutaj, będzie miał od morza do morza”.

Jak ja to usłyszałem, to ogłuchłem zupełnie. Idę, a mnie woła ten oficer:

- Wołodia idi siuda!

Udałem, że nie słyszę i przyspieszyłem kroku, idę szybko, myślę sobie, niedobrze.

Okazuje się, że Rusczy Niemców wszystkich zebrali, kazali zgłosić się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin cywilom, żołnierzom i zabrali ich na odbudowę ZSRR. Wielu tam zginęło bez wieści. W ten sposób zacząłem pomału orientować się, co się dzieje, co jest. Ale jeszcze wtedy nie wiedziałem, że nie będę mógł wrócić na swoje tereny, tam, gdzie mieszkałem. Jeszcze o tym nie wiedziałem.

Następnego dnia jedziemy dalej. Korzystamy często z wojska. Wojsko się wycofuje. Wojsko Polskie, wojsko rosyjskie, a przeważnie tabor. Tabor wiozący amunicję artyleryjską. Tak jedziemy przez kilka dni i dojeżdżamy do Bolesławca. Mostów nie ma. Jest tylko bród, przejeżdża się przez taką rzeczkę.

To rzeka Bóbr! Dojeżdżamy do brodu, a przejechać nie można, bo wojsko idzie cały czas i nie puszczają nas. Mostu nie ma, jest tylko położonych trochę bali i się przejeżdża przez Bóbr. Mosty wszystkie zerwane. Ale nas nie wpuszczają. Stoimy z boku i stoimy. Zaczynam być wkurzony. Ten sznur wojska idzie i idzie, końca nie widać, będziemy tu stać nie wiadomo ile. Zaczynamy awanturę. Nic nie pomaga. Więc wypychamy się końmi w tłum, robi się zator, kolumna zatrzymuje się. Przyjeżdża na koniu oficer rosyjski i zaczyna na nas psioczyć. A my jego zaczynamy opierniczać. Wyzywamy go od głupców. On patrzy, zdziwiony, co to za duraki, wyciąga broń, a my się śmiejemy z niego. Mówimy, żeby sobie strzelił w łeb! Schował broń, a my już przejechaliśmy przez rzekę. Jesteśmy w Bolesławcu. Rozglądamy się. Patrzymy, idzie chłopak z biało-

czerwona opaską.

- Cześć! Cześć! Co ty, chłopaku? - My też mamy opaski biało- -
czerwone.

- Skąd wy, chłopaki, jedziecie? - pyta nas.

- My z robót, w Niemczech byliśmy.

- Ja też, tylko ja pracowałem w Legnicy.

- No to co tutaj robisz? Na zachód idziesz?

- Nie! Ja uciekłem!

Przyglądamy się mu, a on jest bez włosów.

- Jak to się stało, że ty bez włosów. Masz jakąś chorobę? Idziesz
z Legnicy taki ostrzyżony?

A on nam zaczyna opowiadać taką bajeczkę. W Legnicy jest pełno
wojska rosyjskiego i jeszcze wojna nie jest skończona, żołnierze mówią,
że to jeszcze pójdzie się na zachód, i wszystkich, co są z terenów wschod-
nich, a on jest z Borysławia, wcielają do wojska.

- A mnie - powiada - jak tylko wzięli i ostrzygli, to postanowiłem
uciec. Zobaczyłem, że jest bałagan, to uciekłem. Chłopaki, nie jedźcie do
Legnicy, bo tam jest pełno wojska i łapią, wcielają tych, co są ze wschodu.

No kurczę! To niedobrze. Jedziemy. Ale jak jechać, żeby ominąć tę
Legnicę? Jedziemy na Złotoryję, tamtędy bokiem. Jedziemy wsiami. Jest
Stary Jawor i do Jawora. Jest dwudziesty maja, wjeżdżamy pod wieczór od
Starego Jaworu. Nagle patrzę, a tu flagi biało-czerwone. Milicja polska
chodzi z opaskami. Co jest? Jak zobaczyliśmy te flagi, to my, stare chłopcy,
płacemy jak dzieci. Obejmujemy się, całujemy. Jesteśmy w Polsce! Już
jest Polska! Radość. Milicjanci podchodzą do nas. Mówimy im, że je-
dziemy do domu.

- E, chłopaki, to tak nie jest. Musicie zostać tutaj.

- Jak to, musimy?

- Musicie zostać na dwa tygodnie. Musicie popracować przez dwa
tygodnie, potem dostaniecie przepustkę i pojedziecie dalej. We Wrocławiu
są pozrywane mosty. Nie przejedziecie. Będziecie musieli jechać bokiem
na Nysę, ale na Nysę zdaje się też są przerwane mosty. W każdym razie
chwilowo nie możecie pojechać. Musicie zostać na dwa tygodnie, a potem
dostaniecie przepustkę, zobaczymy, czy będzie można w dalszym ciągu je-
chać.

Przemyślenia

Powstanie Warszawskie. Uważam, że było zupełnie niepotrzebne. Ludzie, którzy wywołali to powstanie, to są zbrodniarze, którzy mają na sumieniu tysiące ludzi. Ludzi młodych, którzy zginęli zupełnie niepotrzebnie. Rozumiem, że zginąć za coś, dla jakiejś idei, ale ginąć niepotrzebnie, to dla mnie bez sensu. Jak można było być tak nierozsądnym, żeby w momencie starcia się dwóch potężnych armii wejść w środek i pokazywać co to nie ja. Wywołano powstanie bez porozumienia ze stroną radziecką. Była to głupota najwyższego stopnia. Nie było żadnego zaplecza. Obliczone na trzy dni, trwało miesiąc. Nie wiem po co. Uważam, że jak już ktoś zwariował, to po kilku dniach powinien się poddać, żeby uchronić ludzi i miasto przed zagładą. Zginęli młodzi, wykształceni ludzie, elita narodu. Miasto zburzone, zrównano z ziemią, wysadzając budynki po budynku. Ci, co przeżyli, po wojnie zeszli do podziemia. Władzę obejmowali ludzie bez szkół, bez żadnego wykształcenia, ponieważ ci wykształceni nie przyznawali się i nie chcieli obejmować stanowisk we władzach. W pewnym okresie zaczęli wracać ze Związku Radzieckiego Żydzi. Oni chętnie przyjmowali stanowiska. Dopiero wtedy zaczęli się ujawniać. Na przykład stanowisko starosty. Nie ma chętnych, to zaproponowano Żydowi, wtedy znaleźli się chętni Polacy z wykształceniem, zaczęli wychodzić z podziemia.

Powstania nie mogę wybaczyć tym, co je wywołali. Bo nawet ja mogłem się w nim znaleźć i zginąć, jak wielu innych. Jak już wywołali to powstanie, to po kilku dniach z braku wsparcia powinni się poddać, iść do obozu czy coś takiego. Niemcy przecież przed wyburzaniem ewakuowali ludność cywilną. Rujnowanie miast jest znane od zarania dziejów. Już starożytni, jak zdobyli miasto, to równali je z ziemią i mordowali wszystkich: młodych, starców, kobiety, dzieci, nawet kobiety ciężarne.

Rozdział IX. W nowej Polsce 1945 r.

Tak! Jesteśmy w nowej Polsce! Jesteśmy w Jaworze! Inna to Polska niż ta, którą zostawiłem w Plenikowie. Jest dwudziesty maja 1945 roku. Pierwsze dni wolności. Po dziesięciu dniach pełnej przygód jazdy na wschód, jazdy do domu, znaleźliśmy się w Jaworze. Było nas czterech. Staszek i Janek od Dzikowskich, bracia, Janek Szozda i ja. Wszyscy z Plenikowa. Trzymaliśmy się razem, żeby dojechać do domu, do Plenikowa, do naszej Polski. Kobiety, które z nami jechały, też są w Jaworze.

Trzymają się osobno. W mieście powiewają polskie flagi, biało-czerwone. Wywołało to w nas wzruszenie, popłynęły łzy. Na ten widok cieszyliśmy się, śmialiśmy się i płakaliśmy, ściskaliśmy się jak dzieci. Milicja, która nas zatrzymała, nie miała wiele wspólnego z przedwojenną policją. Nie mieli mundurów, ubrani byli w wojskowe ubrania. Jeden z nich był odziany w niemiecki płaszcz z biało-czerwoną opaską na ramieniu.

- Chłopaki, co macie? - pyta jeden z nich.

- Nic nie mamy!

- Wódkę macie?

- No pewnie!

Mieliśmy alkohol. W tamtym czasie to był mocny pieniąż. Za alkohol można było wszystko załatwić.

- Nie możecie jechać dalej!

- Jak to nie możemy jechać? Dlaczego? Tyle kilometrów już przebyliśmy w drodze do domu, do rodziny. Musimy jechać!

- Dwa tygodnie zostaniecie, rozejrzycie się, popracujecie trochę.

- A potem?

- Dostaniecie przepustki i jak będziecie chcieli, to pojedziecie dalej. Teraz kwatery dostaniecie u Niemca. Da wam jeść i spanie.

Rozprowadzili nas. Również te panny, jak zwykle za nami, dostały kwatery u Niemca. Ale one nie chciały w domu, tylko w stodole. Nas dwóch zostało w jednym pokoju, a dwóch gdzieś indziej do innego gospodarstwa. Wszyscy razem się trzymaliśmy, żeby dojechać do rodzinnej wsi, do domu. Rozlokowano nas. Dostałem pokój, pościel, ale też posiłki. Ja na tyle znałem już niemiecki, że z tym Niemcem mogłem się dogadać. Rozmawiałem z nim o wszystkim. Chodzimy sobie po mieście, zwiedzamy, miasteczko nieduże, ale jesteśmy wolni, jeść dają, nic nie robimy. I tak było przez cztery dni. Zbijamy baki. Ale mamy tu przebyć czternaście dni. W rynku jest starostwo. Idziemy tam. Jest tam taka panienska. Ma pieczęć starostwa. Daje nam skierowania. Małeńkie karteczki dziesięć na dziesięć. Każdy dostaje z pieczęcią. Oni mają na tych skierowaniach napisane MO, a ja mam UB. Podaje nam adresy, gdzie mamy się udać.

Już wiemy, że po drodze będzie, że ja będę pierwszy pod adresem. Dochodzimy do niedużej willi, nie pamiętam teraz adresu, w każdym razie ten domeczek jeszcze do dzisiaj stoi. Przyprowadzają mnie tam i każą iść samemu. Wchodzę, a tam w holu na dole, tam zdaje się było tylko takie piętusko, siedzi żołnierz polski z pepeszą, alkohol od niego jedzie jak nie

wiem co. Ja go pytam:

- Gdzie jest szef, mam skierowanie do szefa!

- Szefa nie ma! - mówi bełkotliwie.

- A kiedy będzie?

- Nie wiem, kiedy będzie.

- No to co mam zrobić? Bo mam tu skierowanie do pracy.

- Przyjdź później!

Widzę, że się z nim nie dogadam, wyszedłem. Pytają mnie koledzy:

- I co!

- Nic! Mam przyjść później, bo szefa nie ma. Idziemy!

Idziemy. Dochodzimy do takiego ładnego budynekczku i to jest ten numer, gdzie oni mają się zgłosić. Wchodzimy do tego budynekczku i okazuje się, że tu jest MO. To jest właśnie milicja.

Chętnie nas przyjmują, jakiś plutonowy wprowadza nas do przed-sionka czy czegoś takiego, odbiera od nich te kartki i ode mnie. Ja mówię:

- Ja nie! Ja mam inny przydział.

- E tam! Choć do nas! Przydasz się. Tamto nieważne.

- Ja mam skierowanie gdzie indziej!

- To nie jest ważne!

- Czy ktoś z was był wojsku i umie się obchodzić z bronią?

- Ja nie! - odpowiadam. - Ale Dzikowski Stanisław ma za sobą wojsko.

- No to fajno! Dostaniecie broń, a Dzikowski was nauczy i od jutra szkolenie.

Dostajemy pokoje, sienniki, koce na górze, jesteśmy zwerbowani. No i dają nam mundury wojskowe: spodnie, marynarkę, płaszcze, czapki. Na wojskowo nas ubrali.

Była godzina chyba druga po południu, idziemy na obiad. Tam było jeszcze kilku innych, w sumie dziesięciu czy dwunastu. Każą nam iść w czwórkach. Idziemy na obiad. Obecnie tam jest szpital. Duża stołówka, dostajemy posiłek, zjadamy i idziemy z powrotem. Dają nam za pokwitowaniem karabiny i mówią, że będziemy chodzić na patrole. Nocą, po dwóch, a Dzikowski nas nauczy obchodzić się z bronią. Z każdym dniem było więcej milicjantów. I było nas już ze dwadzieścia osób, już był taki szereg, chyba pluton. Zajęć żadnych oprócz chodzenia po mieście. Jako broń dostaliśmy karabiny! KBK.

Chodzimy po tym mieście, patrolujemy, pusto, nie ma nic. Na jednej ulicy, nie pamiętam już nazwy, jest komendantura rosyjska. I znowu na mnie. Bo znam rosyjski, to jak coś trzeba załatwić, to ja chodzę. Między innymi musiałem załatwić pozwolenie na broń od nich. Ale poszedłem i bez problemu załatwiłem. Spisano nazwiska, dane i każdy ma już pozwolenie na broń. Do niedawna jeszcze je miałem, ale już nie mam. Było wypisane po rosyjsku i po polsku.

Po jakimś czasie zdobyłem pistolet. Powiedziano nam, że jak ktoś sobie zdobędzie, to będzie mógł nosić. Kupiłem od Ruskiego. P-38. Ładny. Nosilem go do ostatnich dni, póki go nie zdałem. Był bardzo fajny. Taki dosyć masywny, tak że nawet można było go używać jako maczugi. Bywałem wielokrotnie w komendanturze, załatwiałem różne sprawy.

Wiedziałem już, że z moich stron, ze wschodu, będą tu przyjeżdżać i zastanawiałem się, co zrobić. Przypomniałem sobie, że gdzieś muszę mieć adres ojca. I na ten adres napisałem list do ojca, do Kosiny. Po napisaniu i wysłaniu tego listu w krótkim czasie, to był lipiec, może czerwiec, ojciec się zjawił. Mój tato przyjechał. Radości i powitaniom nie było końca. Powiedział mi, że oni z Kosiny dostali nakaz dalszej jazdy i mieli być gdzieś na Śląsku, nie pamiętam miejscowości. Mówię ojcu, że jak chce tam, to dobrze, a jak chce, to mogą tutaj przyjechać. Są tutaj duże gospodarstwa. Można coś znaleźć. A ja już zostałem przeniesiony do Wysockiej Góry, w tej chwili jest to w gminie Dobromierz.

Ojciec powiada, że chyba trzeba by tak zrobić. Jak ojciec podjął decyzję, to ja zacząłem rozglądać się za jakimś gospodarstwem. Rozтока. Tu były wolne gospodarstwa. Tam jeszcze oczywiście byli Niemcy. Chciałem zająć gospodarstwo, pierwsze, przy stacji kolejowej. Okazało się, że ono jest już zajęte. Ktoś mnie wyprzedził. Następne było wolne. Też było ładne. Zająłem je. Oczywiście w Rozтоce. Zajęcie polegało na tym, że powiedziałem przebywającym tam Niemcom, że ja to zajmuję, i wywiesiłem polską flagę. To było już wiadomo, że jest zajęte. Mieszkali tam Niemcy, był inwentarz, sprzęty, wszystko co było potrzebne do życia. Były krowy, konie. Konie były dziwne. Takie małe. Wyglądały jak kuczki.

Pytam gospodarza Niemca, co to za konie. On odpowiada, że to nie są konie, które on miał. On miał normalne konie, duże, ale zabrali je Rosjanie, a jemu zostawili takie. No dobrze, niech będzie. Mówię mu, że tu przyjedzie mój ojciec z rodziną, że będzie tu gospodarzył. Gospodarstwo

Magazyny dla 3 milionów kg. mięsa

PRAGA (IP). W Litomierzycach na północ od Pragi wybudowano państwowe chłodnie, w których można magazynować 3 miliony kg. mięsa przy temperaturze 12—17 stopni poniżej zera, tak że mięso utrzyma się

w stanie świeżym przez kilka lat, nie tracąc swej jakości. Do tych chłodni państwowych sprowadza się mięso i inne potrawy, jak jają, owoce, jarzyny i t. p. z całego państwa. Tam jest magazynowane aż do czasu, kiedy wypuszczane jest na rynek spożywczy. Do chłodni sprowadzono również wielką ilość ogórków, które sprzedawane będą na rynku spożywczym w okresie świąt Bożego Narodzenia. Chłodnia w Litomierzycach służy także do magazynowania towarów UNRRA, które trzeba utrzymywać w zimnej temperaturze.

Opisane powyżej chłodnie prawdopodobnie nie zostały wybudowane, tylko zmodernizowane i ponownie uruchomione. Jak podał autor wspomnień, pracujący w chłodni litomierzyckiej, w czasie wojny budynek zajmował 4 piętra nad ziemią i tyle samo pod nią. Nie można przyjąć że je wybudowano w ciągu roku.

Gazeta Kujawska z 28.10.1946 r. (www.kpbc.umk.pl) Dop. red.

zajęte, ojciec może przyjeżdżać. Był to lipiec 1945 roku.

* * * *

Roztoka (niem. Rohnstock) - wieś w Polsce położona w województwie dolnośląskim, w powiecie świdnickim, w gminie Dobromierz. Jest to największa miejscowość w tej gminie. Wieś położona jest wzdłuż rzeki Nysy Szalonej na wys. 225-325 m n.p.m., w Obniżeniu Pod-sudeckim. Nieopodal Roztoki znajdują się miasta: Jawor (10 km), Strzegom (10 km) oraz Świebodzice (15 km).

Nazwa miejscowości wywodzi się od słowiańskiej nazwy „roztok”, „roztoka” - oznaczającej szerokie rozplywanie się rzeki, roztaczanie się jej nurtu. Podobną etymologię nazwy posiada również miasto Rostock leżące w Niemczech, które przejęło nazwę słowiańską od grodu Roztoka założonego przez plemię Obodrytów należącego do grupy Słowian połabskich.

W 1945 r. wieś weszła w skład Polski. Dotychczasowych mieszkańców wysiedlono do Niemiec. Przepływająca przez wieś rzeka to Nysa Szalona. Pierwsi Polacy przybyli tu w 1939 r. i byli zatrudnieni do prac

przymusowych. Napływ stałych osadników nastąpił jednak dopiero w latach 1945-1946. Byli to głównie przesiedleńcy z terenów wschodnich. Zajmowali się przede wszystkim rolnictwem. Po rozwiązaniu PGR wiele osób szuka pracy poza rolnictwem. W roku 2000 jest to 507 osób z 1098 wszystkich mieszkańców. [2]

[2] *Roztoka (województwo dolnośląskie)* [online] Wikipedia: wolna encyklopedia 08.10.2014 Dostępny w Internecie: http://pl.wikipedia.org/wiki/Roztoka_%28wojew%C3%B3dztwo_dolno-%C5%9B%C4%85skie%29 [dostęp 11.11.2014]

Cdn.

Red. Wierszyk pobrano z: „Przyjaciel domowy. Pismo zbiorowe dla gospodarzy”. Rocznik 1858. Wyd. Hipolit Stupnicki. Lwów 1858, str. 142.

Pszczelnictwo

Lubię niecki pełne miodu,
- Nie bez trudu, bez zachodu -
Pełne miodu, pełne wosku,
Niby to po dzierzonosku:
Gdzie to każda pszczółka rojem,
Każdy rój siły rozwojem.
Każda siła pszczół potęgą.
A pasieka nie mitręgą,
Ale ową luba pracą,
Którą ludzie się bogacą.
Bo nie zawsze skarbem sztuka;
Ale przemysł i nauka,
I to przemysł - światu znany,
Którym słyną Przemysłany.
A więc bracia i koledzy -
Nie dla próżnej, chciwej wiedzy,
Nie dla zysku - z tą rachubą,
Co tak często grozi zgubą:

Ale dążmy z krańców kraju
Do Przemyślan zawsze w maju,
Byśmy w czerwcu znali czerwcy,
Nauczyli się bez przerwy,
Od *Iwana* aż do *Ila*,*
Póki sprzyja pszczołom chwila,
Zbierać roje i paroje,
I rozmnażać słodkie zdroje.
Żeby miodu mieć do pasa,
Przy podżynkach koło *Spasa*,**
I sprzedawać go od słowa,
Na *Uspenie* do *Uniowa*.***
A choćby z nas żartowano,
Modne ule wyśmiewano;
By doczekać lepszych plonów,
By się wzniosły znów pasieki,
Gdy użyczy Bóg opieki.

H. K.

* Od 6 lipca do 1 sierpnia najlepsza rójka.

** Dnia 18 sierpnia - zwyczajny czas podżynków.

*** Uspenie - Wniebowzięcie NPM, dnia 27 sierpnia główny targ miodowy w Uniowie.

Red. Na portalu www.chojna24.pl znajduje się artykuł Andrzeja Krywalewicza z dnia 19.03.2021 r., który jest zapisem wspomnień kresowianki ze świrskiej Haliny z 2019 r. Dziękujemy redakcji i Autorowi za zgodę na przedruk.

Zaginęłam w zaspie śniegu. Wspomnienia z czasu wojny

Nazywam się Maria Zmur. Urodziłam się w sierpniu 1930 roku w wiosce Halina. Moja wieś rodzinna nie duża nie mała, dwadzieścia cztery numery. Blisko miasto Świrz. Moja mama też Maria, tata Stefan. Miałam trzy siostry, najstarsza Stefka, druga Paulinka, trzecia Anka, czwarta ja

- Maria. Szkoła i kościół znajdowały się w Świrzu. W naszej wiosce mieszkali jeszcze Ukraińcy, nie było tutaj ich więcej jak naszych. Do pierwszej i drugiej klasy chodziłam do szkoły w Świrzu. Co niedzielę do kościoła, z okolicznych wielu wiosek tutaj przychodzili na nabożeństwa.

Ukraińska większa wioska wystarczyła i już była cerkiew. Pytałam się głośno jak to jest? Tutaj Polska, a do kościoła tak wiele kilometrów należy pokonać, a Ukraińcy w każdej wiosce mają cerkiew. Blisko wioski były lasy i duży staw. Domy drewniane wykonane z grubych gałęzi, szczeliny pomiędzy nimi wypełniano wałkami z gliną. Zimy ze trzydzieści stopni, chociaż wtedy nie było możliwości, aby sprawdzić temperaturę na dworze, nie było termometrów. Zapamiętałam, że gdy ostra zima przyszła, mówiono, że spadło do minus trzydziestu. Gdy zamarzyły okna, to śnieg można było jeść od wewnątrz. Śniegu gdy nasypało, przez okna nie było światła widać. Marzec przyszedł, a śnieg po rowach jeszcze leżał. Dzieci boso chodziły. Im większy bogacz był, to narzekał, że nic nie ma. Biedny machnął ręką.

W Świrzu na bagnach [stał] zamek, w drodze do kościoła sklepy. Większość z nich prowadzili Żydzi. Za starej Polski handel, kupiectwo znajdował się w rękach Żydów. Do taty przychodził Żyd Szaja. Co tata miał na sprzedaż? Krowę, cielaka, to Szaja rano kupował. Słońce zaświeciło przez szybę, Szaja stukał do drzwi:

- Panie Stefanie, masz pan coś na sprzedaż?

Odkupywał, najprawdopodobniej pośredniczył. Po świnie przychodzili również inni kupcy żydowscy. Dziwne to było, bo oficjalnie pogardzali mięsem wieprzowym. Jednak świnie kupowali, bili. Pewnie pośredniczyli w handlu. Sobota to ich święto, szabas. Kobiety ładnie ubrane spacerowały, mężczyźni pejsy przyczepiali, chyba przyczepiali, bo skąd te pejsy w szabat? Ich dzień odpoczynku trwał do sobotniego zachodu słońca. Gdy nadszedł sobotni zmrok - kończył się.

Kiedyś wracałam z koleżanką ze szkoły. Przed nami szła odświętnie ubrana rodzina żydowska. Po pewnym czasie chyba zorientowali się, że ich obserwujemy, bo niewinnie zatrzymywali się, spoglądali ukradkiem w naszym kierunku. My również się wtedy zatrzymałyśmy. Oni spacerowali, a my chcieliśmy wiedzieć, jak to jest u nich.

W sobotę posiłków nie przygotowywali. Wynajmowali biedne, miejscowe kobiety do przygotowania posiłków. Kościół ich to bożnica, znajdował się w pobliskim mieście [Świrzu - J. W.]. Tutaj żyli z dziada, pra-

dziada zupełnie inaczej niż po wojnie w Piasecznie, w którym zamieszkaliśmy po wojnie. W jednej części wioski znaleźli się obok siebie zza Buga, z „Centrali” i z okolic Warszawy. Ludzie nie znali się, posiadali zupełnie inne obyczaje. Nie było to wszystko proste.

Wierzyły, że pojawi się kawaler w ich domu i zabierze stąd do lepszego świata

Mała społeczność naszej wioski i sąsiednich była mocno rozwarstwiona. Ci co posiadali ziemię to żyli. Jednak wielu ludziom mieszkającym po okolicy żyło się ciężko. Bez ziemi - worek na plecy i za łaskawym chlebem chodzili. Mama nabrała wiadro kartofli i podała jednym, drugim. Były dni, że drzwi się nie zamykały. Tata powiedział, jak tak bę-

będziesz rozdawać, to nie będzie co posadzić. Później mama po jednym ziemniaku dawała. Mówili, że przejdą po całej wiosce i starczy na obiad. Bieda była.

Blisko nas były Chlebowice (*Świrskie - dop. J.W.*). Tam dwie dorosłe dziewczyny pamiętam, chodziły od domu do domu za posiłkiem, a gdy przebywały w domu to czekały z utęsknieniem na chłopaka, że pojawi się nagle. Wierzyły, że pojawi się kawaler w ich domu i zabierze stąd do lepszego świata. Czy pojawił się? Nie wiem.



Maria Zmuda z córkami.
Fotografia z lat 50. ubiegłego wieku.

Za starej Polski

Za starej Polski spokojnie się żyło. Jak wspomniałam, ludzie żyli pokoleniami, przywiązani do jednego miejsca.

W jakim języku ludzie mówili? Jak kto chciał, jak kto umiał. Przed wybuchem lub na początku wojny zapamiętałam wiosenne święto. Ukraińcy szli nad rzekę święcić wodę, a Polacy uczestniczyli w tym samym czasie w uroczystości, którą odprawiał ksiądz. Ukraińcy wzięli z sobą dwa gołębie. Gołębie miały symbolizować Polskę i Ukrainę. Jednemu skrzydła związali lub oderwali. Wypuścili dwa gołębie do góry. Jeden z nich wleciał w powietrze, drugi wpadł do wody, utopił się. Nabożeństwo ich zostało zakończone, śmiali się głośno, klaskali w ręce. [1]

Życie szybko zmieniało się. Wcześniej normalnie się układało. Gdy odbywały się nasze święta bożonarodzeniowe, zapraszano Ukraińców. Gdy przyszedł czas ich świąt, zapraszali Polaków. W zgodzie wszyscy żyli. Dużo było mieszanych małżeństw. To Polka wyszła za Ukraińca, to odwrotnie. Mówiono po ukraińsku, po polsku, jak kto chciał. Do szkoły w Świrzu chodzili Żydzi, Ukraińcy i Polacy.

Zaginęłam w zaspie śniegu

Gdy przyszedł czas na lekcje religii, dzieci ukraińskie udawały się do cerkwi, żydowskie do bożnicy w Świrzu. Drogę do szkoły pokonywaliśmy pieszo. To była prawdziwa zima. Za oknami zasy, wokół wszędzie biało, śnieżyce, zamiecie i przenikliwy, kłopotliwy mróz. Zasy metrowe do dzisiaj utkwily mi w pamięci. Zapamiętałam powrót do domu drogą zasypaną śniegiem. Wspinam się z koleżanką pod górkę i im wyżej tym śniegu więcej. Nagle koleżanka wyższa przedostała się przez nasypaną śniegiem zaspę, ja utkwiałam; ciemno, smutno i wrażenie, że przez zwykłego życiowego pecha zostałam odcięta od normalnego życia. Po dłuższej chwili ile sił krzyczę: pomóż! Pomóż! Zawróciła, odnalazła skąd wydobywał się mój głos. Odsypywała śnieg w różny sposób. Poradziła sobie, rękę jej mocno chwyciłam i przedostałam się przez wysoką zaspę.

Kierunek Przemyślany

Miasto Przemyślany znajdowało się z 15 km od naszej wioski. Tam znajdował się rynek, na który przybywali z okolic. Rodzice wzięli mnie kiedyś z sobą. Droga do Przemyślan prowadziła przez dwie ukraińskie wioski. Nazywaliśmy „ukraińskie” ponieważ zamieszkiwali tam Ukraińcy. Wóz obładowany, koń zatrzymał się, odpoczął i tak coraz bliżej do przedmieścia miasta. Co zapamiętałam? Tata od domu do domu podchodził, stukał do drzwi, proponował ziemniaki, jaja, kaczkę, kurę. Ludzie

kupowali, podchodzili do wozu, oglądali, przebierali, rozmawiali. Rodzice się oddalili, a tutaj obcy koń się przyczepił do „tatowego” konia. Jeden drugiego co pewien czas łup po głowie. Niespokojna patrzę gdzie mama, gdzie tata. Przed sklepami stali Żydzi i nawoływali, aby to właśnie w ich sklepie zrobić zakupy. Tak zapamiętałam wyprawę do miasta.

Nadeszły święta, do kościoła się chodziło. Jeden do drugiego podchodził i dalej razem. Problem stanowiły buty, których brakowało. W obuwiu chodził młodszy po starszym. Były buty można było pójść do kościoła, nie było butów, zostawał człowiek w wiosce i zazdrościł.

Rodzice uprawiali pszenicę, żyto, buraki. Chleb piekła mama sama. A gdy chlebek w domu wyrastał w piecu to pachniało wszędzie wokół. Święta - jakoś szczególnie mi utkwilo Boże Narodzenie. Skromnie ale bardzo rodzinnie. Choinka ustawiona na klepisku, ustrojona papierowymi ozdobami. Tradycyjnie w wigilie kolacja a później w drogę śnieżną drogą po ciemku do Świrza. W święta ludzie chętnie się odwiedzali. Na ulicy zasypanej śniegiem co pod dom podszedł człowiek, to kolędownali rodzinie.

Wojna. Obszarnicy gdzieś się ulotnili

Do szkoły zdążyłam dwa lata uczyć. Później to życie się skomplikowało. Naprzód Stalin dogadał się z Hitlerem. Polska broniła się tyle ile siły starczyło. W Przemyslanach na początku wojny piloci naszego wojska - lotnicy przez jakiś czas przebywali (23 Eskadra Towarzyszająca – przypis autora). W tym czasie gdy wybuchła wojna myślałam, jak to jest: u nas pany takie bogate mieszkali blisko w majątku. Pola, ziemia, zwierzęta. Przed wojną gdy jechali przez naszą wieś do miasta, do kościoła, na zabawę, to państwo mocno wystrojeni byli. W kościele siadali w ławce z przodu. Kobieta była ubrana w długiej sukni, na głowie miała kapelusze z czarną siatkowaną zasłoną. Zamiast patrzeć się na ołtarz, to ja się jej przyglądałam. Myślałam, przecież do kościoła promienie słońca nie docierają, dlatego ona tej siatki (zasłony – przypis autora) do góry na czoło, włosy nie uniesie – *śmieje się pani Maria*. Dwie pary koni ciągnęły bryczki, tak wtedy nazywano zaprzęgi. Majątek tej rodziny znajdował się z dwa kilometry od naszej wioski, może trochę więcej. Może trochę mniej. Posiadali duży obszar ziemi, zatrudniali do służby wiele osób. Myślałam w 1939, jak to jest, że po dwóch tygodniach walki Polska poddała się. Wówczas wydawało mi się, że zamożni mogą wiele uczynić dla zmiany biegu historii. Miałam wtedy tylko dziewięć lat. Gdy pojawili się Rosja-

nie, obszarnicy gdzieś się ulotnili. Pozostawili dobytek, bydło, konie. Prawie wszystko pozostało.

Ucieczka do domu wujenki

Bandyci się pojawiali. Ukraińcy obcy, nie znani. Do tragedii dochodziło, języki ucięli, dorosłych pokaleczyli ludzi do końca życia, a zdarzyło się, że dzieci mordowano. Ludzie przerażeni, jeden do drugiego szedł w strachu, radzili co robić. Ludzie co zdążyli, załadowali na wozy, uciekali do miasta. Tam bezpieczniej było. Czy pamiętam ucieczkę mojej rodziny? A czemu mam nie pamiętać, dobrze pamiętam. W nocy podpalili sąsiednią wioskę, słyhać było krzyki, kto się uratował, przeżył, ratował się ucieczką przez naszą wieś. [2]

Ludzie stali przed domami, przyglądali się tragedii, ludzie, którzy uciekali dopełniali atmosfery strachu i śmierci. Szybkie decyzje podejmowali ludzie z sąsiedztwa, również moi rodzice. Ja na sam przód, siostra i mama. Doszliśmy do miasta, do domu wujenki. Nie trzeba było niczego wyjaśniać, każdy wiedział co się dzieje. Tata początkowo „zapał” się, że zostanie, będzie pilnował dobytku. Później do nas dołączył. Ludzie porzuceni po mieście, jedni tu inni tam, po sąsiedzku. Nikt chyba nie wiedział co dalej, jak to się skończy. Ukraińców tutaj była mniejszość. Ludzie mówili, że dużo ich uciekło do wschodniej Ukrainy. Ile w tym prawdy było, nie wiem. Mój tata został sierotą, gdy był małutki. Doceniał to swoje szczęście, że ma rodzinę. Nie powrócił z wios-



Maria Zmuda podczas wywiadu.

ki, ślad o tacie zaginął. Nie mógł się pogodzić, że zabudowania zniszczone, wiele domów spłonęło. Poszedł przez ciemny las ciemną nocą. Chciał odzyskać to, co pozostało. Nigdy już nie wrócił... [3]

Starsza Niemka rozmawiała sama z sobą, zatrzymywała i patrzyła w okno...

Później pamiętam drogę pociągiem na zachód. Mama i my. Najstarsza z mężem i teściami. W wagonach dużo naszych. Jedni bardziej obłądowani, drudzy mniej. Pociąg jechał przez Śląsk. Cały transport zatrzymał się na bocznicy dużego miasta. Wyszadzili nas. Wojsko organizowało transport do pobliskich miejscowości. Stąd dotarliśmy do Nowej Wsi na Dolnym Śląsku. W opuszczonym, małym domu zamieszkaliśmy. Po poprzednich gospodarzach skromny dobytek pozostał. Ziemiaki, warzywa w kopcach. Dużo jeszcze Niemców w wiosce przebywało. Z pół roku jeszcze przebywali. Ich mężczyźni do roboty zapędzali. Zapamiętałam starszą Niemkę. Czy ona była mądra, czy nie – tego nie wiem. Chodziła po wiosce, rozmawiała ze sobą, zatrzymywała się, gdy spostrzegła kogoś przez okno, patrzyła w to okno i uśmiechała. Wie pan co ja dziś myślę, gdy tą kobietę nieszczęśliwą sobie przypominam? Musiała będzie przeżyć, może mąż czy syn z wojny nie wrócił?

Z Tetynia furmanką do Piaseczna nas przywieźli

Siostra Paulina w 1941 albo 1942 została wywieziona na roboty do Rzeszy. Mama z Nowej Wsi list napisała, opisała nasze położenie, prawdę o tacie, że nie powrócił. Paulina po wojnie przebywała dalej w Rzeszy. W miastach tu na zachodzie wagony były odczepiane, ludzie zostawali. Kilka ostatnich wagonów dojechało na małą stację kolejową do Tetynia. W jednym z wagonów przybyliśmy tutaj w nieznanie moi najbliżsi i oczywiście ja. Z Tetynia furmanką do Piaseczna nas przywieźli.

Z pierwszych lat po wojnie niewiele pamiętam. Domy były zamieszkałe. Ludzie z różnych stron zamieszkali. Dużo wojskowych otrzymało tutaj domy. Za czymś poważniejszym to do miasta udawaliśmy się. Najczęściej do Myśliborza. Do Bań rzadziej. Pan sobie wyobrazi, że rano pieszo drogą przez las wyruszyliśmy do Myśliborza? Miasto podobało mi się. Nie było zniszczone. Duża stacja kolejowa, gdy lokomotywa czekała do odjazdu, gęsty dym pojawiał się wzdłuż drogi do miasta. W Piasecznie powstał kołchoz blisko sklepu. Rano ludzie oczekiwali na placu na

brygadziście. Najpierw przekleństwo, później rozdzielali pracę. W swoim gospodarstwie rolnik mógł hodować jedną krowę, kilka świń. Obowiązkowe dostawy. Przyszedł Zielonka - bo tak jego nazywali ludzie. On nie miał litości. Nie patrzył się na pana czy na mnie. Wszedł i patrzył, co z domu wziąć. Zabierał i nie było zlituj się. Ludzi zastraszyli. Później sklep GS [*Gminna Spółdzielnia - J.W.*] z Bań uruchomił. Szkoła działała. Do kościoła pieszo do Górnowa chodziliśmy, do Bań się chodziło. Mąż nazywał się Bronisław Prońko. Poznaliśmy się tutaj, w Piasecznie. Pracował jako kierowca autobusu w POM-ie w Baniach (Państwowy Ośrodek Maszynowy - przypis autora).

Syn Władek. Córki Hela i Halinka. Epilog

W latach „dobrobytu” na początku lat 70. pod namową męża zgodziłam się odwiedzić jego najbliższych, którzy mieszkali za wschodnią granicą. Pomyślałam – niech dziadkowie poznają wnuków. Wtedy miał być mecz reprezentacji Polski i Republiki Ukrainińskiej. Tłumy przez granicę przejeżdżało. Gdy dotarliśmy na miejsce przywitali nas rodzice męża a moi teściowie. Szybko zdałam sobie sprawę, że tutaj są już inne zwyczaje, mówią w innym języku. To już inny kraj...

[1] Święcenie wody odbywało się w styczniu. Dop. J. W.

[2] Sąsiednia wioska to zapewne Niedzieliska, z której zagrożeni Polacy uciekali przez Halinę do Świrza. Dop. J. W.

[2] Ojciec Marii Zmur nazywał się Stefan Demkowicz, urodzony w 1894 r., i pochodził z rodziny ukraińskiej, mieszkającej zapewne w Świrzu. Jego żona, Maria Pilna, była o dwa lata młodsza i również pochodziła ze Świrza. Spalenie gospodarstwa Demkowiczów na Halinie, co stało się w czerwcu 1944 r., nie było przypadkowe. Podpalacze zabudowań Demkowiczów, a byli nimi nacjonaliści ukraińscy z sąsiednich wiosek, w ten sposób wyrazili swoje niezadowolenie z miłości Ukrainka do żony i rodziny. Później przypłacił to życiem. Stefan Demkowicz jest kolejną ofiarą przewrotnej praktyki tych bandytów. Dop. J. W.



Wypisy z Tarnopolskiego Dziennika Wojewódzkiego (cz. IV)

1.01.1932 r. Poszukiwany jest przez Starostwo powiatowe w Przemyślanach Mrak Jan, syn Andrzeja, szofer z Glinian. O dodatnim wyniku zawiadomić należy powyższe Starostwo.

1.02.1932 r. Wykaz mężczyzn uchylających się od poboru z pow. przemysłańskiego (datę urodzin skrócono do roku): Balek Eugeniusz, ur. 1909 z Alfredówki, Bojko Aleksy, ur. 1909 z Połtwi, Diduch Michał, ur. 1909 z Przemyślan, Jonda Roman, ur. 1909 z Peczeni, Kulczycki Józef, ur. 1909 z Połtwi, Nowicki Kiryło, ur. 1909 z Ostałowic, Pasternak Józef, ur. 1907 z Poluchowa Wielkiego, Portach Augustyn, ur. 1909 z Przemyślan, Pryjma Piotr, ur. 1909 z Janczyna, Romko Stefan, ur. 1909 z Poluchowa Małego, Sabadarz Piotr, ur. 1909 z Błotni, Szweda Włodzimierz, ur. 1909 z Wołkowa, Szatkowski Piotr, ur. 1909 z Lipowiec, Wampach Jan, ur. 1909 z Łoni, Wolf Boruch, ur. 1909 z Zadwórza.

Wykaz mężczyzn uchylających się od zebrań kontrolnych z pow. Przemyślan: Bieszczad Jan, ur. 1889 z Białego, Kruk Władysław, ur. 1902 z Przemyślan, Żółtański Józef, ur. 1899 ze Świrza.

Okręgowy Urząd Ziemi w Tarnopolu wyraził zgodę na parcelację dóbr w Janczynie o powierzchni 19,2 ha, należących do Michała Łuckiego.

Dr Holzer Józef, kapitan pospolitego ruszenia w Glinianach, unieważnia zgubioną książeczkę stanu służby oficerskiej.

1.04.1932 r. W dniu 9 kwietnia 1932 r. zostanie przeprowadzone posiedzenie komisji stacyjnej w sprawie otwarcia na stałe przystanku osobowego „Pełtew”. Projekt techniczny budowy przystanku jest wyłożony do publicznego wglądu przez 8 dni, w Starostwie powiatowym w Przemyślanach w godzinach urzędowych.

1.05.1932 r. Łaba Dmytro, rocznik 1899 ze Świrza pow. Przemyślan, unieważnia książeczkę wojskową, wydaną mu przez PKU Złoczów.

Delkiewiczowa Olga, nauczycielka 1 klasy publicznej szkoły powszechnej w Biłce, unieważnia skradzioną jej legitymację nauczycielską, wydaną przez Radę Szkolną Powiatową w Przemyślanach w roku 1930.

1.07.1932 r. Prezes Okręgowego Urzędu Ziemi zatwierdził parcelację gruntów w Zamościu o obszarze 15,1 ha należących do Heleny i Jerzego Burlingów.

W agencji pocztowej Pohorylce powiat Przemyślan zaprowadzono



Irena Komorowska. Świrz - widok na basztę wjazdową w zamku, 1930-1939. Płótno, olej.
Zdjęcie pobrano z katalogu pt. *Zamek w Świrzu* nadesłanego przez p. Piotra Pinińskiego.

służbę telefoniczną i telegraficzną w ograniczonych godzinach dziennych.

Urząd Wojewódzki Tarnopolski podaje do wiadomości, że w dn.14 lipca r.b. [roku bieżącego - J.W.] ewentualnie i 15 lipca r.b. o godzinie 9 w gmachu Urzędu w Tarnopolu przy ul. 29 listopada rozpocznie się ustny przetarg na sprzedaż około 58 sztuk broni palnej krótkiej i 54 sztuk różnej broni myśliwskiej, pochodzącej z konfiskaty.

Tymcz. Wydział Powiatowy w Przemyślanach ogłasza konkurs na posadę lekarza okręgowego z siedzibą w Świrzu z poborami XII st. sł. szczebel „a” oraz ryczałtem kancelaryjnym i na koszt podróży urzędowych. Kandydaci winni się wykazać: 1. Obywatelstwem polskim,

2. Dyplomem lekarskim, 3. Poświadczeniem upoważniającym do wykonywania praktyki lekarskiej w państwie polskim, 4. Metrykę urodzenia, 5. Odpowiednią praktyką lekarską w szpitalach i 6. Curriculum vitae. Podania wnosić należy do Tymcz. Wydziału Powiatowego w Przemyślanach do dnia 15 lipca 1932 r. Posada jest prowizoryczna jednak po roku wydatnej, nienagannej służby może nastąpić stabilizacja. Przewodniczący Tymcz. Wydz. Pow. Starosta powiatowy: Mgr M. Grodowski.

Oleńczuk Katarzyna z Krzywic pow. Przemyślany unieważnia zgubiony dowód tożsamości konia.

1.08.1932 r. Następujące osoby czując wstręt do pracy, włączą się po kraju, wyłudżając wsparcie na rachunek gminy obowiązanej do trwałej o-

pieki: (...) Marcin Bednarz, syn Piotra i Rozalii Skotni, ur. w r. 1906 w Haczowie pow. Przemyślany, rel. rzymskokatolickiej. Ostrzega się przed udzielaniem jakiegokolwiek wsparcia wymienionym osobom na rachunek gminy zobowiązanej do opieki, gdyż wsparcie nie będą przez te gminy zwracane.

Prezes Izby Skarbowej we Lwowie przeniósł asystenta mierniczego z IX st. sł. Chechlińskiego Mariana z Urzędu katastralnego w Kołomyi do Urzędu Katastralnego w Przemyślanach w dotychczasowym charakterze i st. sł. z poruczeniem kierownictwa Urzędu z dn. 18 VI. 1932 r.

1.09.1932 r. Wojewoda tarnopolski ustalił ceny drewna użytkowego na pniu za 1 m³ w pow. Przemyślany: dąb, klon - 23 zł, jesion, jawor - 23, sosna - 14, osika - 12, świerk - 11 i jodła - 9.

Prezes Okręgowego Urzędu Ziemskiego w Tarnopolu zatwierdził parcelację gruntów w Dusanowie o powierzchni 2,7 ha należące do probostwa grekokatolickiego oraz w Majdanie Lipowieckim o obszarze 0,6 ha należące do Bronisławy Matkowskiej.

Wojewoda tarnopolski mianował w Przemyślanach praktykanta administr. Edwarda Kaletę z XI grupą uposażenia na sekretarza z X st. sł.

Ministerstwo Poczty i Telegrafów przeniosło praktykanta Repę Stanisława ze Lwowa do Glinian.

1.10.1932 r. Prezes Okręgowego Urzędu Ziemskiego w Tarnopolu zatwierdził parcelację gruntów w Łoni o powierzchni 8,5 ha należących do probostwa grekokatolickiego i w Zamościu o areale 43,4 ha należących do Heleny Burgilowej.

Jakub Heller, lat 21, urodzony w Kałuszu, syn Arona i Estery, kierowca samochodu ciężarowego, jest poszukiwany przez Starostwo powiatowe w Przemyślanach.

Prezes Izby Skarbowej we Lwowie mianował praktykanta II kat. w Urzędzie Skarbowym w Przemyślanach Steckowicza Jana prowiz. asystentem rachunkowym z X st. sł. z dniem 28 VIII 1932 r.

1.12.1932 r. P. Prezes Rady Ministrów nadał za zasługi na polu pracy społecznej Srebrny Krzyż Zasługi Józefowi Nowickiemu, kierownikowi szkoły w Białem, pow. Przemyślany i Leopoldowi Żakiemu, kierownikowi szkoły w Świrzu zaś Michałowi Hutnikowi z Tuczej - Brązowy Krzyż Zasługi.

Prezes Okręgowego Urzędu Ziemskiego w Tarnopolu zatwierdził parcelację gruntów w Peczeni o obszarze 0,4 ha należące do probostwa gre-

kokatolickiego i w Łahodowie o powierzchni 154,5 ha należące do Zygmunta Gerstmana.

Cdn.

(Wybrał J.W.)

Józef Wyspiański

Wykaz ofiar zbrodni popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich na osobach narodowości polskiej w pow. Przemyślany (XXXVIII)

W bazie danych IPN pojawiły się nowe nazwiska osób zamordowanych, które nie znajdują się w redakcyjnym rejestrze ofiar.

1. Nieznany z imienia **Decewicz**, został zamordowany w Chlebowicach Świrskich w dniu 1.03.1944 r. Takie nazwisko nie występuje wśród stałych mieszkańców wioski, więc osoba musiała przyjechać w odwiedziny lub była uciekinierem z sąsiedniej wioski (Strzeliska?).

2. Nieznany z imienia **Dewnicz**, pochodzący z Hanaczowa, został zamordowany przez banderowców 1.03.1944 r. Zapewne był uciekinierem z pobliskiej wioski ponieważ takie nazwisko nie występuje w Hanaczowie ani w Hanaczówce.

3. Podczas napadu banderowców na Laszki Królewskie (8.06.1945 r.) zginęła **Tekla Urbańska**, lat 31, i jej dwoje małoletnich dzieci - **Joanna i Michał**.

4. **Mikołaj Antoniak**, s. Antoniego, lat 29, zginął 19.06.1944 r. w Pohorylcach.

5. **Piotr Balant**, s. Piotra, lat 32, zamordowany 20.04.1944 r. w Zadwórzcu.

6. **Katarzyna Dąbrowska**, lat 37, zamordowana 10.05.1944 r. w Stanimierzu.

7. **Katarzyna Fedorowicz** c. Stefana zabita w 1941 r. w czasie ucieczki ze Słowity.

8. **Jan Garnowski**, lat 55, z Podusowa został zamordowany 16.10.1944 r. w Żeniowie.

9. **Anna Kisielewicz**, lat 27, z Chlebowic Świrskich zginęła 10.03.1944 roku po napadzie bojówki ukraińskich nacjonalistów.

10. **Katarzyna Mazur**, lat 23, została spalona żywcem w domu w kwiet-

niu 1942 r. Nieznana miejscowość. Rodziny o nazwisku Mazur mieszkały tylko w dwóch wioskach - w Tucznem i Białym. W r. 1942 nie palono polskich zabudowań, możliwe, że chodziło o rok 1944.

11. **Jan Pilipczak (Pilipczuk?)**, s. Dymitra lat 50 z Siworóg zastrzelony przez bandę UPA przed domem 06.1944 r.

12. **Katarzyna Pilipczak (Pilipczuk?)**, c. Grzegorza, żona Jana, lat 47 z Siworóg, zastrzelona przez bandę UPA przed domem 06.1944 r.

13. **Jan Terlecki**, s. Józefa, lat 44, z Białego zabity 25.03.1944 r.

14. **Katarzyna Wadziak** z Czupernosowa, lat 34, zamordowana w 1944 r.

15. **Anna Szlachetko** z Meryszczowa, lat 41, zabita przez banderowców w 1943 r.

W tej samej bazie danych podano nazwisko ofiary z Łahodowa - Piotra Śniezka i jego wiek. Miał lat 30. Znana tylko z nazwiska Brągiel z Białego, lat 30, miała na imię Rozalia i została pozbawiona życia 12.05.1944 r. wraz z dwoma synami. Brona Jan z Hanaczowa, lat 25, to zapewne znany Brzoza Jan, bo zgadza się data śmierci i miejscowość.

W Korzelicach zginęła Eugenia Fedyniak, żona Mikołaja, oraz dwie jej córki: Danuta (lat 16), i Zofia (lat 11). Kropa Jan, a nie Krop Jan, został zastrzelony w Rozworzanach przez banderowców 7.04.1944 r.

W rękopisie Spisu rodzin z parafii przemysłańskiej, redagowanym po wojnie przez ks. Piotra Stanoszka, znaleziono nowe nazwiska ofiar napadów w Pniatynie. Wszyscy zostali zamordowani 22.05.1944 r.:

- **Anastazja Batowska**, żona Szczepana, i jej **dwie córki**.

- Nieznany z imienia **Batowski**, syn Piotra.

- **Jan Batowski**.

Wymieniony już wcześniej Feinel Stanisław, zabity w Ładańcach, był synem Adama i Karoliny Liebersbach z Kimirza.

Uwzględniając nowe dane o skutkach napadów ukraińskich nacjonalistów, liczba ofiar w byłym powiecie przemysłańskim wynosi łącznie 1788, w tym 1599 Polaków, 133 Ukraińców, 52 Żydów i czterech Rosjan. Zaledwie kilka osób z wykazu ofiar wyzdrowiało po ranach zadanych nożem lub siekierą. Ponad 300 osób nie jest znanych z nazwiska (Polacy, Ukraińcy i Żydzi).

Ponadto Niemcy, niekiedy pod wpływem ukraińskich donosów, zastrzelili przynajmniej 30 Polaków i sześcioro Żydów. Większość jest znana z nazwiska. Lista ofiar napadów nie jest pełna i będzie uzupełniana w miarę napływu kolejnych danych.

Redakcja „Spotkań Świrzan” nadal zbiera informacje o nowych, nieznanych dotychczas ofiarach napadów ukraińskich nacjonalistów, fotografie zabitych Polaków jak również dane uzupełniające (okoliczności morderstwa) do znanych już nazwisk. Nowe dane będą publikowane w naszej gazecie.

Szczególnie brakuje informacji o ofiarach z miejscowości leżących na południu powiatu, z takich wiosek jak: Korzelice, Wojciechowice, Młynowce, Baczów, Meryszczów, Podusów, Nowosiółka i Dusanów.

Pokłosie naszych publikacji

Niezwykle pasjonujące, tak identyfikować ludzi ze zdjęcia. Dla ułatwienia ponumerowałem osoby w załączonym zdjęciu i trochę je retuszowałem. Zdjęcie było publikowane w „Spotkaniach Świrzan” nr 14. Przeprowadziłem kwerendę na bazie tego co można znaleźć w internecie, także w „Spotkaniach Świrzan”, oraz ze strony genealogicznej w portalach ogólniedostępnych. Część to niestety założenia i być może w przyszłości uda się dokładniej zidentyfikować osoby. Oto co udało mi się ustalić:

Członkowie amatorskiego zespołu teatralnego w Przemyślanach (1932 r.), wystawiający sztukę - dramat romantyczny Józefa Korzeniowskiego „Karpaccy górale”. Zespół liczył kilkanaście osób; przedstawiał od czasu do czasu małe formy sceniczne dla mieszkańców miasta. Przedstawienia odbywały się w budynku „Sokoła”. Wszystkie imprezy odbywały się w lokalach „Sokoła” (kina, zabawy, festyny, przedstawienia), gdyż znajdowały się tam odpowiednie pomieszczenia oraz ogrodzony plac gier tenisowych i budynek kręgielni. Gospodarzem „Sokoła” był Stanisław Jarema. Zdjęcie wykonał przemysłański Żyd, L. Wadel.

1 - Marian Foigt - pierworodny syn Jana i Zofii Łuszcz, urodzony w Poluchowie Wielkim 11 lipca 1906 roku. Pseudonim z czasów II w. św. „Lipa”. Zmarł 1 maja 1979 r. w Dębnie, tam też pochowany. Służba wojskowa w 6 batalionie lotniczym we Lwowie jako mechanik, a także uczestnik walk o Anglię w RAF, także jako mechanik nr sł. RAF: 729255, w stopniu kaprała znajduje się na tzw. liście Krzystka. (dane ze zbiorów własnych - Tomasz Fojgt).

2 - Józef Ostrowski - domniemane - syn Feliksa Ostrowskiego i Franciszki Ślubik, urodzony 14 czerwca 1900 roku w Przemyślanach, pasuje mi z da-



ty urodzenia...

3 - Maria Chudy - żona Stanisława Chudego (założenie), z domu Kulman, córka Michała i Marii Magdaleny Hojnackiej, urodzona w Przemyślanach 22 marca 1900, zmarła i pochowana w Rzeszowie w 1986 r.

4 - Stanisław Jarema - gospodarz „Sokoła” - brak danych.

5 - Kamila Worobiec (Worobiec Józef - kominiarz - chyba miał żonę Helenę Onyszkiewicz; został wywieziony na Sybir z rodziną. Była jeszcze Józefa Worobiec z córkami Zofią i Krystyną i synem Kazimierzem. Mieszkali na jednej ulicy z Józefem kominiarzem.) Trudno ocenić kim była dla Józefa - imię ze „Spotkań Świrzan” - rozpoznana z innego zdjęcia przez jednego z czytelników.

6 - Kazimierz Pękalski - reżyser przedstawienia - dyrektor szkoły w Przemyślanach, jeden z kronikarzy parafii rzymskokatolickiej w Przemyślanach na prośbę proboszcza Zygmunta Biłskiego pomiędzy 1925 a 1931 r.; żona Zofia, dzieci Tadeusz, Bolesław, Zbigniew i Janina. Syn Tadeusz wywieziony jako jeńiec do obozu w Kozielsku, zamordowany w Katyniu 16 kwietnia 1940 roku, symbolicznie pochowany w Przemyślanach wraz z żoną Marią.

7 - Maria Magdalena Etterle - córka notariusza Karola Mieczysława Etterle i Walerii Hellmann - urodzona 22 lipca 1909 roku - nauczycielka w

przemysłańskiej szkole - w czasie okupacji we Lwowie do 31 lipca 1944 roku, gdzie pracowała jako Referentka Inspektoratu Południowego AK. Pseudonim z czasu II WŚ: „Myszka”, „Magda”. Zmarła 5 stycznia 1959 roku, pochowana w Gliwicach, gdzie spoczywa wraz z ojcem mgr Karolem Etterle.

8 - Stanisław Chudy - syn Tomasza i Zofii Balawender, ur. 28 stycznia 1895 r. w Krosienku, Przemysły, około 1943 rozstrzelany przez hitlerowców w odwecie za zabicie Niemca przez AK, wraz z Janem Chudym; uczeń w pracowni Jana Wojtowicza. (MyHeritage) [był jeszcze Jan i Julian „Niedźwiedź” - a z porównania zdjęć wynika że to żaden z nich - opisany w „Spotkaniach Świrzan” - nie jestem też pewien, czy to on był rozstrzelany czy Jan] założenie, że na zdjęciu jest jego żona.

9 - Maria Jaremowa - żona Stanisława Jarema.

10 - Kazimierz Mądrzak - główna rola.

11 - Maria Żukrowska - główna rola - była taka powiatowa położna - akuszerka z domu Michaliszyn - jeśli to ona, ps „Ciotka” - ale była jeszcze urodzona w 1904 roku. Maria Żukrowska nauczycielka w Przemyslanach, w wykazie Inspektoratu powiatowego....

Tomasz Fojgt

Red. Julian Chudy (kawaler) ps. „Niedźwiedź” został zastrzelony we Lwowie, w willi p. Świeykowskiej.

Wiersze Zygmunta Grochowalskiego (cz. X)

Red. Utwory pochodzą ze zbioru pt. „Kilka piosnek z po za krat LWO-WA I SZPILBERGU”. Autor był więziony za działalność niepodległościową. Na starość osiadł w Świrzu i pełnił funkcję listonosza. Zmarł w roku 1894 r. Wiersze przepisano z zachowaniem użytej pisowni. Część dziewięta ukazała się w zeszytach nr 158.

Skarga do Boga

Stworzyłeś nam ziemię o Boże!
A ziemia ta dla nas za mała;
Brat z bratem żyć na niej nie może,

Choć jedna ich matka wydała.
I skąpo ta ziemia nam rodzi;
Brat bratu dziedzinę wydziera,
Niepomny w braterskiej krwi brodzi,
I z pracy nie swojej plon zbiera.
Stworzyłeś nam Boże obszary
I czemu-ż twe ludy mrą w głodzie?
Stworzyłeś nam puszcze i jary,
A skryć się gdzie nie ma w swobodzie.
Szatański ród w szponach swych trzyma
Dostatki i rządy tej ziemi,
I z władzy się swojej nadyma,
I pastwi się nad bezbronnemi.
Urąga Ci ród ten bezbożny,
Bezkarnie nam wtlacza okowy,
Gdzie-ż jesteś o Boże wszechmożny!
Gdzie-ż grom twój na zbójców tych głowy?
Gdzie-ż jesteś o Boże wszechmożny!
Daremnie cię wzywam gnebyony,
Tu silniej i silniej bezbożny,
Oprawcze swe wciska mi szpony!
I kiedy-ż w Twej sprawiedliwości
Zlitujesz się nad nękanemi,
Poskromisz tyranów tych złości,
I wrócisz nam pokój na ziemi?

(Pisałem w lipcu r. 1846)

Wznijdź słońce!

Co dzień dnieje, co dzień świta,
Gdzieś dalekie świata końce
Oświeciwszy, wraca słońce,
Co dzień nas swym blaskiem wita;
I zagląda swym promykiem
Między trawki, między kłosa,

Niestety nie dotarłem na tę uroczystość, ale mam parę zdjęć i film, jaki mi znajomi i ks. Piotr przesłali. Było wielu parafian, przybyli goście z Polski, poświęcenia dokonał abp. Mieczysław Mokrzycki, Metropolita Lwowski.

Ks. Piotr jest bardzo szczęśliwy, że udało się odremontować tę świątynię - sam pamiętam w jakim była stanie kiedy byłem w Ciemierzyńcach w 2008 roku, kiedy kościół nie został jeszcze oddany a w środku leżały krowy, biegały barany i leżały kupy śmieci i gnoju. Na pewno o tym panu kiedyś pisałem. Teraz jest to przepiękny kościół, sam ksiądz nazywa go „Bazyliką” gdyż na prawdę pięknie został wykończony przez lokalnego artystę, jak dobrze pamiętam, chyba ze Świrskich Chlebowic.

Z przerażeniem śledzimy to co dzieje się obecnie na Ukrainie, jak giną niewinni ludzie, bombardowane są miasta i wioski. Całe szczęście, że na razie na zachodniej Ukrainie jest w miarę spokojnie chociaż alarmy bombowe są ogłaszane i w Przemyślanach.

Na parafii w Przemyślanach znalazło schronienie wielu uchodźców ze wschodu. Były dni, że ks. Piotr przyjmował pod swój dach po 50-60 osób, zapewniając im wyżywienie, odpoczynek i najpotrzebniejsze rzeczy w dalszą drogę, głównie do Polski.

Jak sam ks. Piotr mówił - kościół w Przemyślanach jest najbezpieczniejszym miejscem w mieście ze względu na grubość murów świątyni - 1.5 m. jak na barokowy kościół obronny przystało.

Przygotowany został też schron w piwnicach pod świątynią, przyznam, że nie wiedziałem że są tam piwnice,

zobaczyłem je dopiero na zdjęciach.

Udało się nam też zebrać i wysłać do Przemyślan parę transportów z najpotrzebniejszą pomocą, wszystko dotarło szczęśliwie do Przemyślan, a dalej przerzucone było na wschód Ukrainy. Oby jak najszybciej ta wojna się zakończyła by nie ginęli bezbronni i niewinni ludzie. Życzę zdrowia,

Adam

<><><><><><><><><><><><><><><><><><><>
Dzień dobry Panie Józefie

Jutro (19.05.2022 r.) w naszej szkole w Gierałtowie odbędą się nagrania dla Polskiego Radia i Instytutu Pamięci Narodowej o przesiedleniach przymusowych naszych mieszkańców. Kiedyś wysłał nam Pan fotografie ze swoich zbiorów na Święto Kresowe. Mamy je do tej pory wydrukowane na wystawie w antyramach. Czy możemy pokazać je jutro podczas tego wywiadu? Mamy też kilka pamiątek ze Świrza (cymbaly Pana Komara). Poszukujemy też ligawki, która została nagrana w 1957 roku, kiedy grał na niej Pan Horochowski. O kim mowa, gdy mowa jest o Dziadku Horochowskim? Serdecznie pozdrawiam

Ewelina Szuter

<><><><><><><><><><><><><><><><><><><>
Drogi Józku,

Zaskoczyła mnie wczoraj gazetka. Myślałam, że później ją roześlesz. Oczywiście, zaczęłam ją czytać „od Jedyńaków”. Tyle razy uzupełniałam ten tekst, że już się w nim pogubiłam i z ciekawością przeczytałam całość.

W muzeum archeologicznym w Atenach oglądałam antyczne wazy i rzeźby. Wiele z nich to kilka autentycznych skorup uzupełnionych jakimś „lepszczeniem” uformowanym przez odpowiednie ręce. Tak samo z moim tekstem:

